

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 17

Jerozolima, 1 grudnia 1943 r.

Rok I

MARIAN GÓRECKI

CZERWONI I BIAŁI

Bizantyńska mozaika

Bizancjum jako stolica wschodniego cesarstwa rzymskiego reprezentuje w pojęciach kultury zachodnio-europejskiej, zarówno łacińskiej jak anglo-saskiej, spłot pierwiastków obcych Europie. Jeśliby zaś zapytać wykształconego Amerykanina, co go obchodzi bizantyńska kultura, to zapewne przekonalibyśmy się, że tyle, co nas kultura Azteków. Ostatnio prof. Gannon, rektor uniwersytetu w Fordham, podczas uroczystości adoptowania uniwersytetu lubelskiego, dał dobitny wyraz swoim poglądom o wspólnocie cywilizacji amerykańskiej i polskiej, zaś o obcości dla Ameryki kultury wschodniej.

Ciągłość formalną z tradycjami Bizancjum utrzymuje dotąd kościół chrześcijański ortodoksyjny, który dzisiaj z powrotem stać się ma jednym z narzędzi imperializmu, częściowo obejmując w ten sposób miejsce rozwiązane Kominternu. Spadek duchowy Bizancjum przewija się niedziernymi niemi przez historię narodu, który Iwana Groźnego ciągle uznaje za wspaniałego swego bohatera.

Dlaczego w Europie Bizancjum jest niepopularne? Przecie pod względem jurydycznym było ono kontynuatorem rozwoju prawa rzymskiego, które ze swej strony tak wielki wpływ na Europę wywarło. Czy przyczyna leży tylko w tym, że praktyka życia bizantyńskiego zdecydowanie odbiegała od litery prawa? Czy może w tym, że Wasył — Bazyli Bułgarobójca był moralnym protoplastą Iwana Groźnego, czy może w tym, że przechowała się tradycja, potwierdzona przez najnowsze badania historyczne, że cesarze bizantyńscy w swych ciągłych wojnach z Persją, dla pozyskania sprzymierzeńca w bitnych Beduinach, poparli całą bizantyńską przemysłowość i szybki wzrost potęgi Mahometa, który w zamian za to poparcie nie skierował pierwszego impetu przeciw Bizancjum, lecz najechał i zniszczył bezprowrotnie Persję? Niewątpliwie różne te przyczyny mają pośredni wpływ na nasz sąd, ale lepiej jeszcze wszystko zrozumiemy, jeśli wspomnimy fakt zdobycia chrześcijańskiego Bizancjum przez zachodnio-europejskich rycerzy w czasie wypraw krzyżowych. Nieładne to wspomnienie. Zwykle przytacza się je jako przykład bezideowości i łupiestwa krzyżowców. Nie należy tak upraszczać sprawy. Sama chęć łupu nie mogła być przyczyną szturmów. Między Bizancjum i Europą istniały już wtedy zasadnicze przeciwieństwa, które z dwóch grup chrześcijańskich ukształtowały dwa odrębne światy cywilizacyjne.

Za moich lat dziecinnych był szeroko popularny epigramat, świetnie uwydatniający najwybitniejsze cechy bizantyńizmu przy pomocy logicznych przeróbek głośnego wtedy nazwiska:

Pobledonoscew dla synoda,
— Biedonoscew dla naroda,
— Donoscew dla caria,
— Noscew dla siebie,

Wśród dzisiejszej mieszaniny pojęć, kiedy się płaczą wszystkie barwy — symbole i powstająca pstrokaczyna, wywołać może u każdego obserwatora niepokój o zdrowie własnych oczu — dobrze zdać sobie sprawę, że to nie swoisty nasz daltonizm, lecz tradycyjna bizantyńska różnobarwna mozaika jest przyczyną takich mętnych pod względem barwy naszych obserwacji.

Od czasów Grybojedowa, który o otaczającym go klimacie pisał, że daje on —

Ws'em głupym szczastje ot bezumja,
Ws'em mudyrim gorie ot uma,

zmieniło się tylko tyle, że mniej jest w tym klimacie tak głupich, aby mogli się czuć szczęśliwymi.

Co jest czerwone, a co białe?

Nawet mądrzejsze dziecko wie, że w Chinach kolor biały jest kolorem żałoby. W Europie od rewolucji francuskiej kolor czerwony jest symbolem buntu. Symbole upraszczają porozumienie i dlatego tak wielką rolę mają nawet w matematyce, ale zachowują one sens tylko w obrębie ograniczonego światka, posługującego się jednolitą wspólną konwencją. Gdyby bowiem jakaś panienska, wychowana w Chinach, zjawiała się nieoczekiwanie w białej sukience na pogrzebie w Paryżu, to wywołałaby zgorszenie, a co najmniej zdziwienie.

Dzisiaj w Europie jest bardzo modna kolorystyczna symbolika — brązowe lub czarne

koszule, zielone krawaty, żółte łaty i żółte przenosnie — to wszystko zastępuje staroświeckie korany.

Barwa czerwona została również zmonopolizowana i nawet zetatyzowana. Czerwony sztandar przestał być, przynajmniej w jednym kraju, symbolem buntu, lecz stał się flagą urzędowych galówek.

Z punktu widzenia językoznawczego już dawniej raziło mnie tłumaczenie wyrazu „krasnyj” jako „czerwony”. Przecież w Moskwie przed Kremlm istniała już za czasów Piotra, a bodaj jeszcze za czasów Opryczniny — „Krasnaja Płoszczad” — to znaczy „piękny plac”. To podwójne znaczenie przechowało się w polskim języku w wyrażeniach określających masę, na przykład „krasa krowa” — „krasula”, a z drugiej strony w określeniu urody, na przykład „krasna dziewczucha”. Dla uniknięcia nieporozumień warto w naszym języku zaprzestać używania tłumaczenia „czerwona armia”, gdyż epitetowi „krasnaja armia” lepiej i bez nieczyjś obrazy odpowiada po polsku — „krasna armia”.

Cóż więc jest czerwone, a co białe? Co czarne dla jednego, to bywa białe dla drugiego. Sprawy tej łatwo rozwikłać się nie da, bo jest ona zagmatwana prawdziwie bizantyńskimi metodami.

Walka białych z czerwonymi

W historii naszej mamy okres, kiedy linia podziału społeczeństwa rozgraniczała białych od czerwonych. Jedni i drudzy walczyli przeciw temu samemu wrogowi, ale różnili się poglądami na termin i metodę walki oraz na cele, jakie należy osiągnąć po odzyskaniu niepodległości.

Jedni byli naprawdę biali, bo chcieli — za wszelką możliwą cenę — ograniczyć rozlew krwi i usiłowali jak najdłużej spełniać swe zadanie drogą białą, papierową; a drudzy byli naprawdę czerwoni, bo ich buntownicze dusze rwały się do boju.

Nigdy, w żadnym kraju, symbolika białych i czerwonych nie zajmowała tak wyraźnego miejsca w historii narodu i nigdzie nie doszło do podobnie integralnego wystąpienia czerwono-białego sztandaru we wspólnej akcji.

Echa lesne w 1863—64 powtarzają potomnym nazwiska białych i czerwonych, leżących w bratniej mogile powstańczej, rozstrzelanych pod tym samym murem, zawieszonych na tej samej szubienicy, zesłanych w te same sybirskie kopalnie i zakutych w te same kajdany.

Kiedy dzisiaj jedni nazywają generała Drażę Michajłowicza bohaterem narodowym, a drudzy katem ludu, to Polska nie przeżywała, ani nie przeżywa jugosłowiańskiego dramatu. Jak przed osiemdziesięciu laty Konstanty Kalinowski zasłużył się całemu narodowi, tak teraz uwaga wszystkich warstw i klas, poglądów i temperamentów skupia się niepodzielnie wokół centralnego zagadnienia — sprawy niepodległości — i każdy, kto chce lub zechce wstrząść się do wewnętrznych spraw polskich, napotka na zdecydowany, jednolity polski czerwono-biały opór.

Wprowadzając w tok rozumowań o sprawach współczesnych wspomnienia powstańcze, nie chcę wcale przez to wstępować na koturny patosu, ani rozczulać czytelników tym Treuga Dei, jakie wtedy zapanowało w Polsce pomiędzy białymi i czerwonymi. Odrzuć więc zwracam uwagę, że poruszyłem tę sprawę głównie dla antynomii, zawartej w fakcie, że czerwoni byli przeważnie spirytualistami, romantykami, zaś biali racjonalistami, późniejszymi pozytywistami. Wtedy więc także masi nie wyrażały dokładnie różnic poglądu na świat i doktryn.

Problematyka rewolucji

W ostatnich czasach dwu wybitnych przedstawicieli młodego, lecz nie najmłodszego, pokolenia zajęło się analizą nurtu myśli polskiej.

Bocheński, rozpatrując nastroje w Coetquidan i Khanakin, przeciwstawia nastrojów jednych, odzwierciedlonych, według niego, w pamphletowym stylu Ksawerego Pruszyńskiego, nastrojowi drugich, który jakoby ma być prostszy, wyrażając się w bojowym patosie protostolijnego — jakoby — Władysława Broniewskiego. Bocheński nie porywa się na żadne przepowiednie, ani nawet nie stawia diagnozy i odczuwa potrzebę, aby je jeszcze uzupeł-

niać, przed wyciągnięciem wniosków ostatecznych.

Inaczej Wraga. On wie lepiej. Jest apodyktyczny. Żadnej rewolucji nikt nie powinien chcieć, bo żadnej rewolucji nie trzeba. Wystarczy ożór w szarym sosie.

Cztery lata okupacji, zwłaszcza zmiana okupantów na części obszaru, dały ludziom wiele przeżyć i doświadczeń, bez porównania bogatszych, niż mieli możliwość gromadzić w tym czasie Wraga i Wargę.

Rudymenty okupacji składać się będą nie tylko ze wspomnień, Greueltałów, morderstw i przesiedleń, lecz także wielkich przeobrażeń intelektualnych i psychicznych.

Ludzie, którzy wytrzymali cztery lata pod okupacjami, nie będą mieli kliwego usposobienia biernych widzów Restauracji, a tym bardziej nie wezmą na siebie roli restauratorów. Będą oni chcieli, aby inowacje, wprowadzane przez okupantów, zostały świadomie rozsegregowane, i ażeby wszystko, co dobre, zostało włączone do nowego życia polskiego. Twórcza myśl polska w Kraju nie jest restauratorską, ani apatycznie kontynuatorską, lecz jest myślą rewolucyjną, która Polaka Wragę po jego powrocie do Kraju zaskoczy, jeśli się w tym zawczasu nie zorientuje, a Węgra Wargę przepędzi z jego zakusami, choćby kijami, jeśli lepszej broni nie starczy.

Polska jest dość duża, a dzieje myśli polskiej są dość bogate, aby zmieścić się w tych granicach mogły wszelkie barwy i ażeby w swobodnej fair play walczyły o pierwszeństwo wszelkie odcienie tęczy. Tylko o jednym trzeba pamiętać. O tym, że wtedy, gdy obcy chcą się wtrącać w domowe polskie walki i spory, wówczas cała gama barwnych symboli zwierza się w sztandar biało-czerwony.

Wielość i jedność

W Londynie w „Nowej Polsce” wydrukował swe polityczne impresje z podróży po oceanach Feliks Gros.

Gros, szkicując wyobrażenia o przyszłości świata, wyraża pogląd, że nie można jej budować cegiełkami o tak różnej wielkości, jak na przykład Panameryka i Litwa, lub Panameryka i Polska, i t. p. Mniejsza o to, że stosunek Panameryki do Polski pod względem ilości mieszkańców jest mniej więcej taki sam, jak Polski do Litwy, a jednak, co wiemy dobrze, istniał i istnieje żywotny problem polsko-litewski. Mniejsza także o to, że pod względem techniki konstrukcyjno-budowlanej Gros również nie ma racji, bo właśnie nowoczesna architektura polega na ustawianiu w jedną całość bloków różnej wielkości. Ważnym w tej chwili jest to, że w odróżnieniu od Grosa wielu ludzi (w tej liczbie ja sam) potrafi i odczuwa potrzebę kojarzenia w jednym myślowym chwycie nawet tak bardzo różnych pod względem wielkości podmiotów jak — świat — i — ja. Cała istota sprawy polega na tym, że nie wielkość tu decyduje o współmierności, lecz ciężar gatunkowy. Człowiek lub naród, który rozpyływa się w nicości lub w nieogarniętej przez siebie przestrzeni, ma ciężar gatunkowy niewielki, ale człowiek i naród, którzy zachowują twórczą, uświadomioną odrębność, znaczą nie tylko subiektywnie, ale i gatunkowo tyleż samo, co świat niezmierny. Świat na nich oddziaływał, ale i oni wzajemnie na świat. Cały świat straciłby swą barwną rozmaitość, gdyby został sprowadzony do ograniczonej liczby, a tym bardziej do jednego mianownika i dlatego więc nigdy dojść nie może do spełnienia życzeń Puszkińskiego, — z okresu jego moralnego upadku, — aby wszystkie słowiańskie rzeki rozpyłyły się we Włódze.

Wydaje się więc, że dla ciekawego skądinąd umysłu Feliksa Grosa bezmiar oceanów okazał — zu kolossal — i, że dążąc do rzeczy wielkich, nie uniknął grzechu bałwochwaltwa.

Z pomocą boską

Wraga w swym głośnym artykule twierdzi, że „w Polsce jest olbrzymia ilość rzeczy do zbudowania, jeszcze większa do naprawienia i nie ma nic do zniszczenia”. Jest to restauratorstwo, posunięte do skrajności. Wyrażam pewność, że nie ma wśród Polaków ani jednego człowieka, któryby czegoś sprzed 1 września 1939 r., albo z okresu okupacji i z okresu emigracji nie chciał zniszczyć.

W numerze:

K. Pruszyński: Dwudziesty dziewiąty listopada. Słuchowisko radiowe. — St. Olz.: Europa. — A. Szymański: Wojna dwóch systemów militarnych. — W. Jaworski: Całość serca. — G. Herling — Grudziński: Powrót Cezarego Baryki. — L. Kurdybacha: Wśród zagadnień szkolnych. — J. W. Hirschberg: Polska w średniowiecznej literaturze arabskiej. — Z. Broncel: Litania Loretańska do Najświętszej Marii Panny (dokończenie). — I. Kejtin: Architektura Palestyny. — Z. Broncel: O polski teatr żołnierza. — Z. prasy podziemnej. — W. Weintraub: Postscriptum. — Z prasy obcej. — As-set: Naloty. — ww: Przegląd tygodniowy. — D. Szerbić: Opinie angielskie.

Kiedy czytałem wytyczne Wragi dla młodzieży: — młode pokolenie niech się trzyma bliżej ziemi, bliżej wiary i praw przyrodzonych — to te bogobojne rady zdawały mi się i dotąd zdają się, jakby żywcem wyjęte z panegirysty białych, Kajetana Koźmiana, lub z „Dewajtisa” Marii Rodziewiczówny.

Nie, nie mogę zgodzić się z Wragą, z jego instynktami zachowawczymi, z jego straszaniem ludzi nawet gniewem bożym. Młode pokolenie winno szanować przeszłość, ale niech nie ugina się przed zmyślonym brzemieniem praw przyrodzonych, lecz hardo i badawczo poszukuje praw przyszłości. Zniszczyć, wykorzenić i wypłenić trzeba w Polsce przynajmniej jedno — grupę ludzką. Sam Wraga zresztą wspomina, trafnie i słusznie, o jej panoszeniu się w Polsce. Trzeba zapewnić swobodę rozwoju samodzielnym umysłom twórczym, które wyzwolą naród z zaduchu restauracji i z pęt analogizmu. Trzeba śmiało kształtować wizję lepszej przyszłości, która lepiej zjednoczy, skoordynuje wysiłki niż to mogłyby zrobić materialistyczne i biurokratyczne plany pięcioletnie. Wizja ta, nie będąc materialistyczną, jednak nie może być pogrążona w odętach mistycyzmu i teozofii, lecz twardo oprze się o rzeczywistość.

Wszyscy, którzy poszukują, już przez to samo zasługują na wzajemny szacunek. Odczułem więc jako przykry zgrzyt naprzykład fakt, że Bocheński mimochodem uszczypliwie potraktował hipotezę Grzybowskiego o nowym stylu życia. Mniejsza już o to, że w tym samym numerze pisma, w którym wydrukowany był artykuł Bocheńskiego, inny autor wyraża dokładnie takie same poglądy o przypuszczalnym wpływie nowego stylu życia na przeobrażenia narodów, w kierunku ich zespolenia we wspólnym większym obszarze, ale chodzi o to, że trzeba się w tych sprawach dogadać do sedna rzeczy. Trzeba zaniechać zbędnych analogii lub powierzchownej polemiki. Trzeba wspólnie rozpatrzyć, co można naprawdę zrobić wśród otaczającej nas rzeczywistości. Trzeba szukać i nie wolno nikomu, kto szuka, ciskać kamieni pod nogi. Choć mój numerze pisma, w którym wypatrywać, czy wśród zgłiszcz i ruin nie kiełkują nowe pędy i dlatego każdy musi powtórzyć — „siedzę, idę, idę”.

Kiedy przeczytałem od początku to, co tu napisałem, stwierdziłem najpierw dużą chaotyczność myśli, a potem coś jeszcze jakby gorszego, coś, co zrobić może na czytelniku wrażenie, jakbym wśród tych wszystkich Bocheńskich, Wragów, Grzybowskich, Broniewskich, Pruszyńskich, Wargów, chciał, puszczając w ruch łockie, gwałtem znaleźć miejsce dla siebie.

Jeśli chodzi o pewną beztłoność poruszonych spraw, to w tym nie widzę ujemy dla siebie — po pierwsze ze względu na ich rozległość, a po drugie dlatego, że nie tyle obawiam się chaosu i bałaganu, wiele zbyt wielkiego porządku i doktrynalnej ciasnoty.

Jeśli zaś chodzi o sprawę łocki, to bez fałszywego rumienia przyznaję rację czytelnikom: chcę się od tamtych czegoś nauczyć, dając im w zamian coś od siebie.

Współcześni czerwoni.

Polskim socjalistom w ogóle, a przedtym „czerwonym” z r. 1863, teoretycy zawsze zarzucali, że nie są to prawdziwi socjalni rewolucjonści. Tę problematykę z właściwą sobie żonglerską zdolnością wielokrotnie interpretował, na naszą korzyść, Mackiewicz w swych komentarzach do działalności Piłsudskiego.

Polskę czerwona zaszczytnie reprezentował Mieczysław Niedziałkowski w obronie Warszawy, a Ciołkosz w Londynie stara się godnie utrzymać skrwawiony sztandar. Prócz nich w pojedynkę, samowtór, samotrzeć borykają się o lepszą przyszłość poszczególni ludzie. Poza tym zewsząd wзираją żółci.

Należą do pokolenia, które w 1918 r. stało przed pytaniem: co najpierw — niepodległość, czy zmiana stosunków społecznych. Pytanie zostało przez moje pokolenie rozstrzygnięte na rzecz niepodległości. Dzisiaj po dwudziestu pięciu latach odpowiedź nie może być inna, ale, bogatsi doświadczeniem, nie chcemy przedłużać jak wtedy stanu upajania się niepodległością, stanu Treuga Dei, bo z okresu (Dokończenie na stronie drugiej).

KSAWERY PRUSZYŃSKI

St. OLZ

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY LISTOPADA

SŁUCHOWISKO RADJOWE *)

Nieregularny, niezbyt głośny, suchy stukot. Taki, jaki wydaje szewskie kopyto. Odświeżenie stołka. Kroki. Wśród tego wszystkiego ktoś gwizda, zrazu cicho, potem wyraźniej, nutę „Marsylianki“ bez słów. Słyszymy najlepiej melodię pod następujące (niespiewane) słowa. Tylko melodię:

contre nous de la tyrannie
l'étendard sanglant est levé,
l'étendard saanglant est — — —

w tym miejscu przerywa ostro melodię.

MĘSKI GŁOS (podrażniony): A te safianowe do pani hrabiny Rautenstrauch toś odniósł?

CHŁOPAK STARSZY: Ano!

MĘSKI GŁOS: A te jangielskie, jasne, do pana pułkownika Skrzyneckiego?!

CHŁOPAK STARSZY: I te z kozłowej dla pana prezydenta Lubowidzkiego odniosłem, i te dla księżnej pani z Mostowej, i te dla grafa Szieremietiewa z wołyńskiej lajb gwardyj. Jeszcze nie było szóstej. To jak ten pożar na Solcu się zajął i ludzie mówili na miescie.

MĘSKI GŁOS: Nikt się ta ciebie, Felek, o żaden pożar nie pyta, ani co tam ludzie na miescie mówią... Wielka rzecz, że mówią... Nie ta dobrego z tych gadań na miescie żonoś nie wyszło. I nie wyjdzie i teraz. Czładnik jeździe, robotę swoją rób. Nie twoje tamte sprawy, rozumiesz?

GŁOS KOBIECY: I jak do majstra gadasz, to nie żadne „ano“ i „ano“. Dla najpierwszych państwa w całej Warszawie buty szyjesz, tobyś się tego Powisla oduczył. Na Nowym Mieście jeździe, nie tam na żadnym Krzywym Kole jakim. Odniosłem, nie odniosłem. Mów jak ten edukowany. I nie gwizdaj na całą izbę...

MĘSKI GŁOS: Myśli smirus, że nie wiem, co on tam gwizda? A już... Ciegłem mi tę Marsylię wygwizduje. A gwizdaj se, gwizdaj, a jak tu przyjdą z cyrkułu, to będą za ciebie na areście gwizdać. Mało to tam nie siedzi... Gdzieś się tej zarazy nauczyli? Gada!

CHŁOPAK MŁDSZY: Gdzie się miał Felek nauczyć, panie majster, jak nie na miescie? Nie słyszał pan majster, jak gwizdajom? Już i na katarzynkach, chodząc po podwórzach, będą grali! Jakem biegał wczora do tego ruskiego gienierała Kuruty na Ożarowie z robotą, to mu pod samymi oknami wygwizdywali... Już nie tylko tę francuską spiwają, jaże belgijskiej się nauczyli... To od lata, co to, w pan majster, króla w Paryżu Francuzy zrzucili...

MĘSKI GŁOS: A nie wasza rzecz, zrzucili, nie zrzucili, rozumiesz? Twój król? Ty zrzuciłeś? Bacz lepiej, żeby się z tego nowa bieda nie nabrała... Niby to mało było? Spokoiniej: Te lakierki dla pana pułkownika Wiesnycyna, na Wareckiej, toście mieli na pierwszego wykończyć, a dziś dwudziesty... Matka, który to już listopada?

GŁOS KOBIECY: A dwudziesty dziewiąty!

MĘSKI GŁOS: Widzicie ich! Nawet na świętą Barbarę nie będą. A pułkownik Wiesnycyn! Żeby nasi jasnie państwo tak płacili, jak pułkownik Wiesnycyn. Ale im nie płacenie, a francuskie nowiny w głowie. Gadają? To przestaną gadać?

Strzał.

MĘSKI GŁOS przerażony: Co to? Łoskot odstawianych stołków, rzucanych na podłogę narzędzi. Potem strzał drugi... Trzeci, czwarty, piąty... Krzyk na ulicy. Kobięce krzyki. Krzyk męski, daleki:

Do broni! Do broni!

MĘSKI GŁOS: W złą godzinę mówiłem! Chłopa, biegiem okienice zawrzyjcie. Zawrzyjcie, zawrzyjcie... Na żelaza. Felek, wracaj chole-ro. Jak majster ci mówi... Feelek!!

Trzask drzwi. Nowy strzał.

CHŁOPAK MŁDSZY: Poleciał, panie majster! Pognało go! On ta pewnikiem wszystko wiedział, co się ta tu w miescie kroi. Ja ino wyżę...

KOBIECY GŁOS: Widzicie go! Nie słyszysz, jak strzelają? Istotnie, dalekie strzały coraz częstsze. Oj, Walenty, Walenty, toż to jak na rezurekcję za Kościuszki zupełnie. Tak to się i wtedy zaczynało... Panie Jezu i Matko Częstochowska... Od powietrza, głodu, ognia i wojny... Odgłos kroków na ulicy. Walenie pięścią w drzwi zamknięte. Krzyki:

Otworzyć! Panie majster! Otworzyć!

KOBIECY GŁOS: Od powietrza, głodu, ognia głośnie: Walenty, nie otwieraj, Walenty, jeszcze co ukradną, jeszcze zabiją. Walenty, co robisz? przerażona! Och! z ulgą, zadowolona: Jezu?! A toż pan majster Kochański?

*) Uwaga Redakcji: rzecz powyższa została napisana jako słuchowisko radiowe na zaproszenie radia brytyjskiego i będzie odegrana na obchód rocznicy powstania. Zachowaliśmy ten charakter słuchowiskowy, a nie widowiskowy. Dlatego nie ma opisu sceny, a tylko głosy, jak w radio.

**) Dnia 29 listopada 1830 r. Skrzynecki był tylko pułkownikiem.

Z nowym przerażeniem: Co to? Ranny? Krew? Olaboga. Calużką izbę nam pokrwawi. KOCHAŃSKI: Ostawcie, panie Miler, ostawcie, ino go opatrzymy, nie mu ta nie będzie, ani wam też. Na Krakowskim bez łeb szablą dostał.

MĘSKI GŁOS: Na Krakowskim? Co mówicie, Kochański? Mówcie no, mówcie? To i na Krakowskim się biją? Co?

Strzały słychać teraz co pewien czas, ale dalekie, urywane.

KOCHAŃSKI: A sami to nie słyszycie? I jak się biją! Nasze wojsko powychodziło z kwatery! Ruskie pułki zamkły się na swoich. W teatrze ruskich oficerów zabrali na odwach. Jedna hrabini to aż ją zemgliło. Polecieli pod więzienie u Karmelitów aresztowanych wypuścić! Arsenał wzięli! Broni ludziom rozdają! Broni!

KOBIECY GŁOS: Jezu Maryjo, słyszane to rzeczy, aresztantów odbijają i całe pospólstwo uzbroić! To rewolucjo czysto!

KOCHAŃSKI: A co, pani Miler może myśli, że siabasz? Szpiclów na ulicy łapią! Paru na latarniach obwiesili! Generałów, co z Konstantym trzymali, strzelają...

MĘSKI GŁOS: Jezu Maryjo, co powiadacie? Do generałów strzelają?

KOBIECY GŁOS: To mi francuskie porządki, ze wszystkim?

KOCHAŃSKI: Nowickiego utłukli w karecie, Haukego zastrzelili, Potockiego, że ich odwozili, Pierwsi podchorążowie zaczęli. Ba! Gadają, że wielkiego księcia w Belwederze ubili!

KOBIECY I MĘSKI GŁOS: Wielkiego Księcia! Jakże to?

CHŁOPAK MŁDSZY: Dostał, psiajucha!

KOCHAŃSKI: Ja tam nie był, to nie wiem. Ale jeden przyleciał konno, to mówił. Coś ze dwudziestu, cywilnych, ale z bronią, wyszli z Łazienkowskiego parku. Biegiem przebyli dziedziniec. Drzwi szklane wyłamali. Bagnetem zadłgali warty. Zakuli takoj wielkiego księcia i Kurutę generała —

MĘSKI GŁOS: Co powiadacie? Kurutę generała? A był mi winien jeszcze z wiosny za trzy pary z cholewkami palonymi...

KOCHAŃSKI: To już wam nie zapłaci. Cheba na tamtych świecie! No, wstawajcie, panie Miler! Ruszajcie z nami do cechu! Wszyscy cechowi idą! Na ulicę! Idźwa!

KOBIECY GŁOS: Rany boskie, Walenty, rewolucji ci się zachciwa czy co?

Trzask drzwi. Chłopak starszy wrócił.

CHŁOPAK STARSZY: Panie majster! Panie majster! Macie tu giwer dla was! Pani majstrowa, nie płacicie, co tam. Giwer dla was pobrałem z samego arsenału. Powiedziałem komitetowi, że to dla was, dla pana majstra Millera z Nowego Świata. Panie majster, co stoicie? Rewolucjo! Już wszyscy cechowi poszli. Wojsko idzie od Belwederu. Pomieszanie ze wszystkim! Razem podchorążowie, starzy żołnierze od Napoleona, czeladniki! Ruskie generały po domach uciekły. To jak za Kościuszki! Jak we Francji! Le żur de gloire i taryw! Panie majster, idźcie z nami na miasto! O, o, już idą!

Słychać nieregularny tupot wielu nóg, nieregularne werble, pojedyncze strzały i zrazu cichą, potem coraz głośniejszą melodię pieśni, śpiewanej przez idących

TLUM WARSZAWSKI:

Słońcem lipca podniecały

Wcześnie do nas z górnych stron:

Powstań, Polsko, skrusz kajdany;

Dziś twój tryumf albo zgon!

Jednym z pytań dręczących, które na obecnym załomie dziejowym staje przed nami, jest kwestia zabezpieczenia na przyszłość bytu i obrony naszego Państwa. Tego, że w wyniku tej wojny powstanie Niepodległa Polska, możemy być chyba pewni. Gdyby stało się inaczej, byłoby to klęską moralną obozu alianckiego; oznaczałoby zupełne bankructwo tych haseł, w imię których ten obóz wojnę prowadzi. Powstanie więc niepodległej Polski musi być logiczną konsekwencją zwycięstwa obozu alianckiego. Lecz zabezpieczenie jej bytu oraz możliwości odgrywania twórczej roli zależą będzie w ogromnym stopniu od nas samych, od naszego wyczucia współczesnej rzeczywistości, od umiejętności znalezienia właściwej linii przewodniej dla naszej polityki państwowej.

Cechą charakterystyczną współczesnego systemu obronnego jest konieczność posiadania obszernego terytorium. Współczesne wielkie uderzenia jednostek pancerno-motorowych wymagają dla ich odparcia bardzo głębokiego ugrupowania obronnego. Ponadto konieczny jest jeszcze rozległy margines terytorialny, gdzieby się mogło zorganizować przeciwdziałanie. Żadne z państw europejskich, oprócz Rosji, nie posiada niezbędnej do tego przestrzeni. Uderzenie, które się rozpoczyna przy jednym krańcu, zbliża się wkrótce do innego i nie pozostawia wolnej przestrzeni, gdzie by można było przygotować kontratak.

Niemcy nie są pod tym względem w sytuacji o wiele lepszej od innych państw europejskich. Dlatego też z chwilą zdecydowania się na prowadzenie wojny musiały one obsadzić znaczne części Europy, żeby zabezpieczyć sobie niezbędne tereny manewrowe. Niewątpliwie, że gdyby Niemcy nie były ożywione duchem zaborczym i gdyby nie przyświecał im cel panowania rasy germańskiej nad światem, mogłyby one zorganizować niezbędny obszar obrony w drodze porozumienia z innymi narodami europejskimi, znajdującymi się w sytuacji analogicznej. Ten duch, ożywiający Niemcy współczesne, potępiamy z moralnego punktu widzenia. Z duchem tym nasz naród oraz wszystkie miłujące wolność narody prowadzą walkę. Lecz z punktu widzenia czysto wojskowego decyzja niemieckiego naczelnego dowództwa, aby obsadzić w pierwszej fazie wojny szereg krajów europejskich, była logiczną konsekwencją konieczności posiadania obszernej przestrzeni jako bazy dla dalszego prowadzenia działań wojennych.

Drugim czynnikiem współczesnej zdolności obronnej jest przemysł. Najważniejszym elementem, decydującym o zwycięstwie w wojnie współczesnej, jest ilość i jakość maszyn, stanowiących narzędzie walki. Dlatego też warunkiem prowadzenia wojny współczesnej jest posiadanie potężnego przemysłu, któryby mógł podczas działań wojennych pracować z najwyższym napięciem wszystkich swoich zdolności wytwórczych. Obrona przeciwnicza wymaga takiego rozlokowania zakładów wytwórczych w terenie, aby nie stanowiły one skoncentrowanych celów dla ataków z powietrza. A to znowu wymaga obszernego terytorium, stanowiącego bazę sił obronnych. Wszystko to wymaga również potężnego potencjału gospodarczego, ogromnego rozwoju sił wytwórczych oraz dużych kadr techników i różnego rodzaju specjalistów.

Z faktów powyższych musimy mieć odwagę wyciągnąć wszystkie konsekwencje. Nie wolno nam chować głowy w piasek oraz odurzać się łatwym frazesem nacjonalistycznym. Musimy mieć odwagę stawiania wielkich i trudnych celów, lecz również odwagę patrzenia prawdzie w oczy. Nie wolno nam rezygnować z realizacji naszych zadań państwowych. Jednocześnie jednak winniśmy rozumu, że realizacja wielkich celów, które dyktuje nam nasza historia, w różnych okresach dziejowych wymaga też różnych metod.

*) Artykuł powyższy drukujemy jako dyskusyjny.

EUROPA *)

Otoż prawdą twardą jest fakt, że we współczesnych warunkach produkcji i wojny sami nie jesteśmy w stanie zbudować nowej potęgi mocarstwowej. Powstaje jednak pytanie, czy nie możemy stać się jednym z jej głównych współczynników, podstawowym elementem woli i inicjatywy przy jej organizowaniu? Jest to problem, który już nie po raz pierwszy staje w naszej historii. Staliśmy już wobec niego w w. XIV-tym. Wtedy panowie krakowscy wspaniale go rozwiązyali, łącząc Koronę z Wielkim Księstwem Litewskim w potężną monarchię Jagiellońską. I jest rzeczą zdrową i słuszną, że myśl jagiellońska, myśl federacyjna coraz mocniej opanowuje dzisiaj umysły Polaków.

Lecz tutaj również współczesność narzuca swoje korektywy. Jeżeli sobie przez chwilę wyobrazimy, że powstała Rzeczpospolita Jagiellońska w dawnych granicach, jeżeli nawet wyobrazimy sobie, że udało się jej obecnie to, czego nie potrafili w sposób trwały osiągnąć Jagiellonowie, t. zn. dołączenie Węgier i Czech — to pomimo wszystko nie będziemy jeszcze mieli potęgi mocarstwowej pierwszej klasy. Współczesne warunki techniki, gospodarki i wojny wymagają, aby myśl jagiellońska zakreśliła jeszcze szersze kręgi, aby się stała myślą europejską. Tylko przez objęcie znacznej części obszarów Europy, w każdym razie przeważnej części t. zw. Europy Środkowej, można stworzyć potęgę, któraby zdolna była do odegrania w przyszłości tej roli, którą w wiekach minionych odgrywała Rzeczpospolita Jagiellońska. Dlatego też hasłem naszym dziś musi się stać nie tylko Polska, lecz i Europa.

Co to jest Europa? To nie jest tylko pewien obszar geograficzny, lecz również pewna wspólnota kulturalna. Tak samo jak wspólnota kulturalna była starożytna Grecja, pomimo iż składały się na nią liczne i samodzielne politycznie państwa. Wszystkie prądy i sprzeczności, w których się rodziła synteza kultury europejskiej: Kościół Rzymski, język łaciński i scholastyka; reformacja i odrodzenie; rewolucja francuska i tęsknota wolnościowa — wszystko to znajdowało również swój wyraz w życiu Polski. Z Europą jesteśmy związani nie tylko dlatego, że czerpaliliśmy ze skarbow jej cywilizacji i że byliśmy współtwórcami tych skarbow, lecz również dlatego, że przez wiele stuleci i wiele pokoleń ośmielaliśmy ją pierścieniem własnych piersi i czynami naszych żołnierzy. O zręby naszej państwowości rozbiły się fale najazdów tatarskich. Broniliśmy Europy przed zakusami Półkiszycy. A potem w pierwszej połowie XIX stulecia, gdy ciężka ręka Mikołaja I-go wisiła nad całym życiem współczesnym, żołnierze nasi przebiegli Europę z jednego krańca na drugi, walcząc na wszystkich barykadach, gdzie tylko rozpalają się boje pod hasłem wolności...

Może nam ktoś zarzucić, że pisząc dziś o Europie, zbliżamy się do niemieckiego hasła fortcey europejskiej. Na to możemy odpowiedzieć: Europa istotnie musi być fortcą, tylko w tej chwili jest to niestety fortca, opanowana przez bandytów. Bandytów, morderców, trucieli musi spotkać los, na który oni zasłużyli. Lecz fortca musi trwać i bronić skarbow w niej zawartych.

Nie należy zresztą uważać, że twierdzenie propagandy hitlerowskiej, jakoby Niemcy bronili Europy, było śluzne. Niemcy hitlerowskie bronią obsadzonych przez siebie obszarów strategicznych. Poza tym ich polityka nie jest bynajmniej polityką obrony, lecz raczej użarzmienia Europy. Kultura europejska powstała na tle krzyżowania się różnych ras i narodów. Hasło wyjątkowego panowania rasy germańskiej jest w tych warunkach w życiu europejskim czynnikiem destrukcji. Imperializm hitlerowski nosi charakter wybitnie antyeuropejski. W przeciwnym razie nie skierowywałby on głównego ostrza swoich ataków przeciwko Francji, Polsce oraz światowi anglosaskiemu, nie szukałby sposobów pogwałcenia krajów zachodnich, tych właśnie, które w formie najczystszej reprezentowały ducha cywilizacji europejskiej. Niemcy hitlerowskie stały się czynnikiem klęski i ruiny dla szeregu narodów europejskich.

Jesteśmy po Niemcach największym narodem Europy Środkowej. I to stawia przed nami zadanie szczególne oraz otwiera rozległe horyzonty. Nasza rola musi być rolą inicjatorów i organizatorów. Dlatego też jednym z ważnych i odpowiedzialnych zadań naszej polityki w chwili obecnej jest znalezienie właściwych dróg i metod współdziałania z tymi narodami, z którymi łączą nas musi wspólna troska o ratowanie własnego bytu oraz ratowanie cywilizacji europejskiej.

Losy Rumunii, Węgier, Słowacji i Czech nie są dla nas bynajmniej obojętne. Tak samo jak nie obojętne są losy Finlandii, Szwecji i narodów bałtyckich. Tak samo zresztą jak jesteśmy zainteresowani w tym, aby po likwidacji zbirów, morderców i rasistów, znalazły się w Niemczech siły, któreby potrafiły aktywność tego narodu szarmonizować z interesami cywilizacji.

Narodem dziejotwórczym jest taki, który potrafi tworzyć nowe fakty i prądy dziejowe sięgające dalej, niż ograniczona dziedzina jego własnych spraw, który piętno swojej indywidualności potrafi wycisnąć na kształtowaniu się historii. Naród polski musi być narodem dziejotwórczym.

Marian Górecki.

CZERWONI I BIALI

(Dokończenie ze strony pierwszej)

1918—1939 wiemy, że wtedy niepodległość może stać się ułudą, nie zaś prawdziwą niezależnością państwa, narodu i człowieka. W latach 1918-1919, Polacy, przy wkraczaniu na ziemię Polski, gotowi byli całować pierwszą spotkaną rękę. Choćby byli socjalistami, a ta ręka należała do policjanta. W latach tych zresztą policjantem był często członek milicji ludowej. Oddalić się więc dziś trzeba od ludzi, bezkrytycznie uwielbiających suwerenność. Dlatego szukamy i szukać będziemy ludzi dobrej woli, chcących współdziałać w wypraniu z brudów pięknej czerwieni. Linia przyszłego podziału zaznaczy się dla nas nie według symbolów, które stają się nędznymi świecidełkami, jeśli są bezduszne, nie według średniowiecznych pióropuszy na szyszakach, lecz według rzeczywistego stosunku człowieka do innych ludzi. Ci, którzy chcą eksploatować cudzą pracę, będą dla nas równie nikczemni, jak ci, którzy chcą eksploatować cudze uczucia i grać dla Bartków Zwycięzców urokiem sfalszowanych symbolów.

Chcemy, aby powtórzył się polski fenomen, że biali i czerwoni walcząc przeciw sobie, mogą się wzajemnie szanować. Naprawdę ludzie dzielą się tylko na szczerych i obłudnych.

Odczuwam potrzebę przypomnienia słów jednego z najwybitniejszych przedstawicieli pokolenia, które weszło w życie Polski już przed tamtą wojną, a dotąd jeszcze aktywnie uczestniczy w kształtowaniu tego życia. W przededniu katastrofy / wrześniowej rozległo się wezwanie, aby odnowić fałanstery, złożone z ludzi uczciwych, nieprzedających i żadnych pracy i walki dla polskiego Commonwealthu. Tylko w ten sposób, tylko tą drogą można dojść do nowej, lepszej Rzeczypospolitej, która oprócz wojsk na prawowitych granicach ziemskich, będzie miała w świecie reputację wyraźnej odrębności kulturalnej od sąsiadów równoleżnikowych, a siłą atrakcyjną dla sąsiadów południowych.

ANTONI SZYMAŃSKI

WOJNA DWÓCH SYSTEMÓW MILITARNYCH

Działania wojenne Wielkiej Brytanii oraz Stanów Zjednoczonych z jednej, Niemiec i Japonii z przeciwnej strony wznoszą się na fundamentach dwóch odrębnych systemów militarnych.

Potęga wojenna państw Osi opiera się na skrupulatnie wykorzystywanych doświadczeniach wojennych: Niemiec — przede wszystkim od okresu prusko-francuskiej kampanii, Japonii — głównie od wojny z Rosją w 1905 r. Obydwa państwa były w trakcie seryjnego realizowania, na przestrzeni kilku pokoleń, ekspansji terytorialno-gospodarczych. Obowiązującą od dawna powszechna służba wojskowa, zabezpieczenie dostatecznej ilości zawodowych kadry instruktorów wojskowych, zwłaszcza dowódców wszelkich szczebli, zmontowanie już w czasach pokojowych organizacji totalnego wysiłku wojennego, zwłaszcza dominacja wpływów wojskowych w życiu państwowym, doprowadziły niemiecką i japońską metodę prowadzenia wojny do doskonałości.

Po stronie anglo-amerykańskiej poza flotą wojenną wojska lądowe reprezentowały minimum sił kadr zawodowych. Oba mocarstwa były zdemilitaryzowane. Wojskowi Niemcy mieli aż nader częste okazje naocznego przekonywania się o tym stanie rzeczy po przeciwnej stronie Kanału i za Oceanem. Ważniejsze z tych obserwacji zagranicznych koła rządowe Rzeszy i naczelnie władze wojska niemieckiego trzymały w tajemnicy. O mniej ważnych, ale bądź co bądź charakterystycznych, dyskutowano. Do takich rozmów należały wynurzenia marszałka v. Blomberga, pierwszego ministra wojny Rzeszy Hitlerowskiej, o jego pobycie w Anglii w r. 1935. Blomberg był pod wrażeniem prymitywnych warunków koszarowych, natomiast luksusowego wyżywienia żołnierzy brytyjskich. W Niemczech było (i jest chyba) na odwrót. Śledzący rozwój militarny Rzeszy uważali za pewne, że statystyczna Reichswehra Traktatu Wersalskiego w okresie swej rozbudowy, jaki nastąpił po przyjeździe do władzy Hitlera, kolejno będzie obejmowała dawne, będące w dobrym stanie koszary po blisko milionowej armii hohenzollernowskiej z przed 1914 r. Należało jedynie uzupełnić koszary i poligony, które Niemcy wybudowali na ziemiach polskich, w Lotaryngii, Alzacji. Stało się inaczej. Nowo organizowane siły zbrojne Rzeszy miały budżet „ad libitum”. Luksus, jaki charakteryzował niemieckie przygotowania wojenne, nie miał granic. O starych koszarach nawet nie myślano. Budowano nowe. Wyglądały one jak najwytworniejsze sanatoria: w Górnej Bawarii i Sudetach — w stylu górskim, w północnych Niemczech — o spokojnych liniach nowoczesnych, w Prusach Wschodnich — w typie wielkich zabudowań leśniczówek. Koszary-uzdrowiska położone były w piękniejszych okolicach, nad jeziorami, rzekami, morzami. Pewien procent wydatków budowlanych przeznaczony był na upiększanie koszar dziełami sztuki, rzeźbą, obrazami. Ekspozycje, normalnie dla muzeów przeznaczone, miały być w blizszym kontakcie z życiem codziennym. Unikam porównań zagranicznych. Sale koszarowe przestały istnieć. Izby, lepiej, pokoje żołnierskie, 5 na 5 metrów, przeznaczone dla dwóch szeregowców każdy, dla każdego szafa, białe, niaranka, stoł toaletowy w typie damskich, firanki w oknach. Dla kilku pokoi łazienka z wannami, prysznicami. Jadalnia, czytelnia. Komfort.

Blomberg widział żołnierzy brytyjskich służby czynnej w czasach pokojowych na przyczekach, z tornistrami miast poduszek. Jesteśmy świadkami, jak napewno bogatsze od Niemców narody anglo-amerykańskie, zwłaszcza bliżej nam ze Środkowego Wschodu znane wojska brytyjskie i amerykańskie i ich dowództwa z generałami Eisenhowerem i Montgomerym na czele, prowadzą wzorowy, bo skromny tryb życia wojennego.

Luksus wojska niemieckiego idzie w parze z zasadami „Herrenvolk'u”, snobizmem, jakim otoczyła się partia narodowo-socjalistyczna. Nie negując, że wiele wojskowych zasad niemieckich było słusznymi, cały ten dla nas mało ciekawy zbiór „wytwornego” życia germańskiego jest jednym z dowodów niemieckiej buty, niemieckiego rozkładu moralnego.

Czy ten anormalny luksus nie został spowodowany m. in. niemiecką „Ueberorganisation”?

Już w 1933 r. mówił mi jeden z czołowych hitlerowców, że Niemcy zadziwią świat doskonałością organizacyjną, która w przyszłej wojnie zadecyduje o wygranej Trzeciej Rzeszy. Niewątpliwie świat został zaskoczony precyznością morderczego mechanizmu germanckiego. Wolno natomiast, ale na pewno, Niemcy Hitlera wojnę przegrują.

Niemcy — zdaje się — tak się rozkojali w „organizacji”, że stała się ona nie środkiem do celu, ale celem samym w sobie. Po przegranej wojnie Niemcy napewno sami przystąpią do badań, co stało się przyczyną ich anormalnego rozrostu organizacyjnego.

Myśli nasze biegają wstecz, na Tempelhof, Reichsparteitag. Olbrzymie sztaby wojskowe, partyjne, państwowe regulowały dojazdy i odpływ tysięcy pociągów, kolumn samochodowych, pieszych, zapewniały zakwaterowanie i wyżywienie kilku milionów ludzi, koncentrowanych na jeden dzień (Berlin), na tydzień (Norymberga). Masy ciała ludzkiego zalegały ulice, stadiony, szosy. Pomysłowe dekoracje,

bezustanne defilady (niektóre trwały ponad 6 godzin), popisy — wszystko to mogło przyczynić się do tego, że Niemcy rozkojali się w organizowaniu imprez. Wiele jest prawdopodobieństwa, że naczelnym niemieckim czynnikiem wojskowym organizacja jako środek wygrania wojny niepostrzeżenie wysunęła się z rąk kierowniczych. Szał i buta „Deutschland — über Alles” ukoronowały „Ueberorganisation”. Dla ciekawych i badaczy będą na ten temat tomy do pisania.

Ale są napewno poważniejsze braki w totalistycznym wysiłku wojennym Rzeszy. Niemiecka wiedza wojskowa na rynkach doświadczeń, wewnętrznych kierowała się niewątpliwie obiektywizmem. W literaturze wojskowej jak i wojskowych wystąpieniach okresu z lat 1918—1939 nie brak uwag i ostrzeżeń, że słabą stroną Niemiec jest jej niedorozwój polityczny. Fryderyk II i Bismarck uchodzili za wyjątki od tej reguły niemieckiej, słusznie ich zatem uważano za wielkich, choć w pojęciu międzynarodowym, zwłaszcza polskim, te czołowe postacie pruskie są prototypami gangsterów hitlerowskich. Nastąpiły dla Niemców fatalne ery Wilhelma II, Ludendorffa i napewno dla Rzeszy w skutkach najfatalniejszy okres Hitlera. O pierwszych dwóch za naszej pamięci i o ich współaktorach Bethmann-Hollwegu, Hindenburgu, dostatecznie wielu Niemców z Bülowem na czele dostatecznie jasno się wypowiedziało. Nie pozostawiono na kaizerze, jego wodzach i politykach, suchej nitki.

Tego, jaki będzie niemiecki sąd nad Hitlerem, mamy już przedsmak w niemieckich czasopiśmie wojskowych. Bo jak inaczej rozumieć publicystyczne wystąpienie w początku b. r. jednego z bardziej znanych niemieckich pisarzy wojskowych, który omawiając „strategiczno-polityczne położenie Rzeszy”, taki mniej więcej dał wstęp do swego artykułu: „...nie jest moim zadaniem omawianie spraw, które w odpowiednim czasie będą musiały być rozpatrywane przez najwyższy trybunał w Lipsku. Do nich należą przede wszystkim:

1. kto zawinił, że po upadku Francji Niemcy mimo posiadania odpowiednich sił lądowych, morskich i zwłaszcza przewagi lotniczej, nie przeprowadziły kampanii brytyjskiej,
2. kto spowodował i zdecydował wojnę przeciwko Rosji...”

Hitler, po przyjeździe do władzy, miał szcze-

gólnie w latach 1933—34 z Reichswehrą ciężki orzech do zgryzienia. Ustosunkował się do niej nieprzychylnie. Grały rolę prawdopodobnie wspomnienia niefortunnego monachijskiego puczu z r. 1933. Przede wszystkim w r. 1933 Hitler był jeszcze południowcem — Austriakiem, rewolucjonistą — narodowym socjalistą, typu H. Rhoema. Jako taki nienawidził Prusaków, Berlina, konserwatywnego wojska niemieckiego.

Chcicie podchwycić on m.in. znany defekt niemieckich władz naczelnych, że nie dysponowały mężami stanu. Hitler zapewnił urbi et orbi, że głupstw monarchii Hohenzollernów i Republiki Weimarskiej nie powtórzy, że „...nigdy nie dopuści do nowego okrażenia, izolowania, blokady Niemiec...” Generał von Schleichera, którego — chyba mylnie — pomawiano o zmyśł polityczny, kazał na wszelki wypadek usunąć dn. 30 czerwca 1934 r. Powołał natomiast plejadę własnych polityków: Ribbentropa, Hessa, Lammersa, Todta, Speera, Franka, nie mówiąc o Goeringu, Goebbelsie, Rosenbergu, Himmlerze. Nadał im najwyższe stopnie partyjne, nawet wojskowe. Podobnie jak u Wilhelma II i Ludendorffa, buta zamroziła Hitlera. Uważał się on nie tylko za męża stanu i wodza, ale za geniusza i mesjasza. Hitler zaciążył decydująco na niemieckim systemie militarnym i metodzie prowadzenia wojny. Reichswehra bała się jak zarazy fałszywych geniuszów i dyktatorów.

W Anglii i Ameryce powszechna służba wojskowa ujrzała światło dzienne dopiero po długotrwałych wewnętrznych walkach politycznych. Obowiązek ten wprowadzono dopiero wtedy, gdy na horyzontach świata zawisły ciężkie chmury wojenne. W obydwu państwach ilościowo niedostateczne kadry oficerów zawodowych, dzięki pierwszorzędemu poziomowi fachowemu zdolały na tyle opanować sytuację, że uruchomiły totalną mobilizację państw tego pokroju, co Imperium Brytyjskie i Świat Amerykański. Bogactwo i potęga przemysłowo-handlowa tych państw były fundamentem ich potencjału wojennego. „Haendler und Soldaten” był jednym z leitmotiwów również niemieckiego totalizmu. Górująca nad niemiecką produkcją anglo-amerykańskiego świata przyczyniła się waleń do przewyższenia ciężkiego dla Londynu i Waszyngtonu kryzysu 1940—1942 roku.

WŁADYSŁAW JAWORSKI

CAŁOŚĆ SERCA

Jeszcze raz to samo. Więc październik błękitny i złoty. I georginie ospałe wszędzie.

A nad tego nieba zwaliskami gałęzie...

Wtedy kształcił nas Tacyta głos starożytny i oddychaliśmy Słowackim jak ogrodem i Rimbaud lampą we mgłach płoń rozmarzonym. Z widnokręgów wieczory sączyły się chłodem w zwiędły park, by obnażać posągów ukłony.

Gdy wylot pustej ulicy księżyc zasłonił swych wzgórz skalistych sąsiedztwem, bezlistne noce uczyły mnie długo smutku i skute w szronie miasto przerażało pięknem nieistniejącym.

A czy pamiętasz chmur bukiety cynobrowe za oknem? I tę walkę żywiołów odwieczną, gdy ziemia krwawi i wiatr? Odwróć w zmięchły głowę: tam witać nam pierwszą miłość jak śmierć — konieczną!

Jak to się stało, że ogrody, gdzie gonitwa Twoich stóp mąciła murawę, teraz płyną jak spalone okręty, a w szybach lśni bitwa, jakiej nie przeżuwałeś tamtą godziną? Czy znasz nienawiścią opuchłych więzień ściany? Bo dopiero w cudzym i cudzołożnym mieście a/ na mglistych piaskach w morza wiotkim szeleście zaczęłaś słuchać pacierza rozstrzeliwanych. O morze, ono na zawsze rozpacz wygnanców udaremni tam, gdzie brzegi szczyty Sachalin... A teraz horyzonty szczerze spaja łańcuch z wysadzanych mostów i powikłanej stali czołgów. Ale twój czas nie jest już tak okrutny, w Twoich oczach bezsenność po tyłu hotelach, Twoimi włosami karmi się wiatr odludny, Tak smagły kryształ tych zmierzchołów Ciebie powieła w mojej pamięci męczeskiej — — Ja pędzę dni w spłowiłym, suchym Kurdystanie, a noce we Lwowie. Ta dwoistość istnienia zraza się w całość mego serca: w wygnanie. Gdzieś przecież lustra czerpią jesień, pełną cienia, gdy winogrodz weraudy wieńczy rudą chmurą i dźwiga się tych samych wież architekturą krajobraz powrotu.

Na twych ustach spoczęła Iskra nieba. Spójrz! Oto jak w poetów dziełach wybuchła nad Lwowem kometa rzeczywistości i, płosząc mrok z zarośli na Wysokim Zamku, po stromych ścieżkach wiodła spóźnionych kochanków i jeziorami rłęci stygła za szkłem wystaw, Wiatr włókł woń zbóż, spierzonych z urodzaju glebą i nieśmiertelny blask zamieszkiwał w tej gwiazdzie. Piętra eskadr rytmicznie podwyższały niebo, gdy żołnierska pieśń biegła w znajome przedmieście.

W przeciwieństwie do Niemiec i Japonii mamy zatem po stronie brytyjsko-amerykańskiej improwizację wojny. Pociąga ona za sobą szereg komplikacji. Oceaniczna odległość centrów produkcyjnych, masowe dostawy, przesadzają o produkcji taśmowej na daleką metę. Niemcy operują na liniach wewnętrznych. Bogate zastępy doświadczonych dowódców i techników wojennych gwarantują należyte użycie ludzi, sprzętu. System produkcyjny Rzeszy przystosowany jest do szybkiego adaptowania ulepszeń, wynalazków.

Po stronie anglo-amerykańskiej nie ma zbytku ilościowego doświadczonych dowódców. Pociąga to za sobą ostrożne manipulowanie instrumentem wojennym. Byłoby obecnie ryzykiem ustalenie choćby zasadniczych różnic systemów wojskowych walczących stron. Wydaje się, że u Niemców i Japończyków strefa walki nadaje ton totalistycznej wojnie, dyktuje warunki etapom, produkcji. Stąd wpływa swoboda działań operacyjnych, szybkość i trafność decyzji, precyzyjność przeprowadzanych akcji bojowych.

Anglicy i Amerykanie montować muszą działania wojenne od głębokich tyłów, w skomplikowanych warunkach linii zewnętrznych. Punkt ciężkości wojny musi w takich warunkach spoczywać na bazach, gromadzących ludzi i sprzęt.

Metoda walki u Anglików i Amerykanów, jak np. użycie artylerii i czołgów, stoi pod znakiem najwyższej rozwagi, ostrożności. Można nawet zaryzykować określenie, że Anglicy i Amerykanie operują zbyt ostrożnie.

Było już tak w 1914—1918 roku. Pod Verdun, w Szampanii, nad Sommą sytuacja Niemców często była krytyczna, gdy Anglicy i Amerykanie wstrzymywali ofensywę, montując tyły. Niemcom dawano możliwość oddechu, organizowania nowego oporu. Podziwiać należy, że z wojennym dorobkiem dowódczym armie angielskiej i amerykańskiej przeprowadziły tak pięknie kampanie libijską i sycylijską.

Jakie znaczenie w prowadzeniu operacji mają doświadczone kadry dowódców, widać z metody działania koalicyjnego lotnictwa, przede wszystkim brytyjsko-amerykańskiej floty wojennej. Te bronie muszą mieć dostateczną ilość specjalistów. To też ich operacje są kapitalne, górują nad niemieckim systemem awiacyjno-morskim. Wystarczy wspomnieć o brawurze brytyjskiej floty i lotnictwa, przy tak wielkim udziale naszych piuotów i marynarzy, w okresie „battle of England”. Dramatyczne było położenie śródlądziomorskie w okresie El-Alamein, kiedy po zatopieniu „Arc Royal”, „Barhan” oraz innych jednostek brytyjskich, admirał Cunningham opanował sytuację u ujścia Nilu trzema krążownikami. W lotniczych i morskich operacjach Anglików i Amerykanów dominuje rozmach, ryzyko, zaskoczenie.

Nie sposób poruszyć choćby najważniejszych dziedzin, pokazujących różnice systemów prowadzenia wojny po obu stronach. Jednym z fundamentalniejszych zagadnień jest poziom moralny i kulturalny narodów i sił zbrojnych anglo-amerykańskich, korupcja moralna i zaprzeczenie zasad kulturalnych u Niemców i Japończyków. Wiele niemieckich umysłów ostrzegało swój naród, a tym samym wojsko, że Niemcy kulturalnie stacają się po równi pochyłej. Byli tacy, którzy początek tego załamania ustalali dosyć ściśle na lata 1900—1910. Ale można go przesunąć dużo dalej wstecz. Nietzsche głosił, że chrześcijaństwo jest wielkim przestępstwem, że kłamstwo wymaga więcej energii i woli. Goethe widział panoszące się zwyrodnienie Niemców za swego życia. Miał po temu dowody, skoro pruski bóg wojny Clausewitz w rozprawie swej „O wojnie” ustala, że nie jest ona tylko aktem siły, ale że nie ma granic jej używania. Tacyt szeroko rozwodził się nad wyjątkowym bestialstwem hord germańskich.

Niemieckie sfery wojskowe, o ile obserwacje przedwojenne były słuszne, zdawały sobie coraz bardziej sprawę z niebezpieczeństwa, grożącego ich siłom zbrojnym z powodu ogólnego upadku moralnego w Niemczech. Rozbestwienie hitlerowców, ich mordercze, gwałty dokonywane na Niemcach, którzy wydawali się być niebezpiecznymi dla narodu socjalizmu, zdołały uwagę i troskę naczelników wojskowych Rzeszy nad izolowaniem wojska niemieckiego od brania udziału w okrucieństwach reżimu swastyki. Jest to jednak sztuczny zabieg. Niemcy znajdują się coraz więcej na rozdrożu. Bezpieczeństwo zewnętrzne porzucone jest „Reichswehrze”, a asekuracja wewnętrzna w Rzeszy i okupowanej Europie — partii hitlerowskiej. Zgrzyt obu tych elementów fizycznej siły niemieckiej istniał przed wojną, wojna go nie usunęła, napewno potęgować się będzie w miarę komplikującej się sytuacji niemieckiej. „Heimatfront” jest rozdwojony.

Po wojnie 1914—1918 Wielka Brytania i Stany Zjednoczone rozbroiły się. Militarizm był w tych państwach niepopularny. Uważać można za pewne, że po obecnych doświadczeniach wojennych w Ameryce oraz Anglii, jak również w Polsce, nastąpi era odrodzenia myśli i pracy wojskowej. Zadaniem tego renesansu wojskowego będzie zabezpieczenie przyszości przed zaskoczeniami wojennymi, unikanie zbędnych strat i przeciągania się operacji — w miarę możliwości zabezpieczenie narodów przed wojnami.

Obowiązywać będzie stara zasada: „Si vis pacem, para bellum”.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

POWRÓT CEZAREGO BARYKI

I
Nie wiem, czy wielu spośród moich ro-
wieśników, to jest ludzi, których gwałtowny
nurt życia niepodległej Polski obarczył mia-
nem „młodego pokolenia”, wie naprawdę, jak
silnie na ich rozwoju zaciężyła postać Cezarego
Baryki. Bo kimże w istocie był ten samopas
puszczony, dziwny chłopiec, rojący piękne sny
o szklanych domach, łokciem przepychający
się przez splątany, gąszcz najżywniejszych



WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

spraw swej nowej Ojczyzny? Czemu szpicru-
tą wychłostał kochaną kobietę, czemu uważ-
nie słuchał ostrożnego Gajowca, aby zaraz po-
tem ulegać fanatycznej, ślepej i bezdusznej
sile dialektyki Lulka? Jakże się stało, że po
raz ostatni oglądamy go, jak kroczy w pierw-
szym szeregu pochodu na Belweder? Czy był
bolszewikiem, jak tego chcieli Kostworowski
i hr. Puśkowski, czy ofiarą „Stefana Żerom-
skiego tragedii pomyłek”, jak sądził markista
Bronowicz, czy też poprostu (w myśl wywo-
dów Skińskiego) produktem inteligencji, za-
płatanej w sobie bezsilności? A może to w tym
niepokornym, spragnionym prawdy Czarusiu
odezwało się tylko żywe, czujące i „nienasyco-
ne” serce autora „Ludzi bezdomnych”, bez-
radnie kołatające się w potężnym i jakże obo-
jętnym dzwonie nowego, polskiego życia? Mo-
że, wreszcie, miał rację Żeromski, gdy w r.
1925 pisał (w „Echu Warszawskim”), że
chciał „jak to zaznaczył jeden z czujnych kry-
tyków polskich, a człowiek sercem — uderzyć
w sumienie polskie — wezwać do stworzenia
wielkich, wzniosłych, najczystszej polskiej, z
ducha naszego wyrastających idei, dokoła
których skupiłaby się zwartym obozem mło-
dzież, dziś pchająca się do więzień, ażeby w
nich gnić i cierpieć za obcy komunizm. Nie
zrozumiano mej przypowieści — skarżył się
wielki pisarz. — Nie uderzyłem w sumienie, lecz
tu i tam trafiłem w brzuch, tu i tam w serce
pocziwe, niewiedzące, zaślepione. Nie zrozu-
miano ohydy, okropności tragedii pochodu na
Belweder — sceny, przy której pisaniu serce
mi się łamało. Koroną moich usiłowań stały
się pochwalne artykuły w pismach moskiew-
skich, głoszące, iż przyłączyłem się do komu-
nistów, poprostu i bez namysłu, jakbym się
ot zapisał do cyklistów albo esperantystów”.
„A jednak rzeczywistość — dodaje w innym
artykule z tego samego okresu wojny o
„Przedwiośnie” — pisząc tę książkę, nie
myślałem o młodzi. Pokolenia wojennego
i powojennego prawie nie znam — nie przeży-
łem tego”.

Mam wrażenie, że jest to jedynie słuszne
i szczere postawienie sprawy. Baryka nie jest
przedstawicielem wojennego lub powojennego
pokolenia. Baryka jest przede wszystkim dra-
matycznym, powieściowym skrótem sprzecz-
ności, jakie od początku, niemalże od dnia jej
narodzenia, bezlitośnie trawiły polski radyka-
lizm społeczny.

Dziś, gdy sprawy te, korzystając z cięż-
kiej i bolesnej nieraz miary doświadczeń, roz-
ważać można bardziej beznamiętnie, rekapitu-
lacja „Przedwiośnia” wydaje się rzeczą nie
tylko możliwą, ale i konieczną. Baryka staje
się syntezą dwóch najtypowszych odmian pol-
skiej, rewolucyjnej postawy społecznej — od-
mian, które Żeromski znał dobrze, bo je ob-
serwował na przykładzie dwóch bliskich sobie
ludzi: Jana Wacława Machajskiego i Mariana
Abramowicza.

Pierwszy, autor „Statutu stronnictwa na-
rodowo-demokratycznego”, później twórca ja-
kiegoś anarcho-komunizmu, ojciec z ducha
nienawiści zrodzonej maksymi „dajcie gramot-
nyje!”, ciemny i mściwy teoretyk, o którego
pisarstwie Żeromski już w okresie pełnej doj-
rzałości pisał, że jest „wschodnie i utrapione”,
jest uosobieniem idei odwieku społecznego. To
niby niepojęty i nieoczekiwany Baryka, ogłu-
czyła na wszystko co ludzkie, pracy z wyrazem
zaciętości i uporą na twarzy na Belweder, wślu-
chany ze zgaszonym, spalonym na popiół ser-
cem i uczuciem niepojętym, za długo
w ryżach trzymanego gniewu w zimne, z bez-
litosnym uśmiechem gruzlika roztaczane teo-
rie Lulka. Baryka żył, Baryka we władzy
ciemnej i mętnej pasji społecznej.

Drugi, Marian Abramowicz, „wolny strze-
lec wszystkich partii politycznych i wszelkie-
go ruchu wolnościowego”, — jak go nazwał
Ludwik Krzywicki, — idący na przód wszel-
kich ówczesnych poczynań polskich, o którym

Żeromski napisał te piękne słowa: „Dziś wie-
my, że takie bohaterskie duchy, heroldowie
wolności, nie na placach bitew, lecz w głębo-
kich mrokach najsroźszego ucisku, w samo-
tności i zgnębieniu nieprzejednani, ruszyli z
posad caryzm. Dziś, gdy w naszym powojen-
nym świecie modne jest potępienie idei
niewolniczego buntu, — biada nam, jeżeli
potępimy ideę i chwałę takiego buntu, jak
tamten Mariana Abramowicza w więzieniu.

Należy on do tego nie-
śmiertelnego legionu bun-
towników, prekursorów
wiecznego postępu ludzko-
ści, z których jeden nie-
gdyś na szczycie piramidy
wyrzył te sprawiedliwe sło-
wa: „Przeżycie wiekom
noc 29 listopada!”.

To właśnie ów inny Ba-
ryka. Dobry Czarus, wpa-
trzonej w ogromnym wy-
soku młodego ducha w da-
leką wizję szklanych do-
mów, gotów serce położyć
na czulej wadze, gdyby
zdolne ono było przewa-
żyć szalę sprawiedliwości,
krwią własną użyźnić zie-
mię, jeśli przyjaźniejszą
przez to się stała dla ludzi,
którzy ją kochają miłością
twardą i bezwzajemną.

Jeśli wcieleniem Baryki-Machajskiego jest
w poezji polskiej Józef Łobodowski, drogę
drugiego znaczy twórczość Władysława Bro-
niewskiego. I gdy piszę te słowa, dalekim
echem, niby wtór oczekiwany, nadciągają tak-
kie oto strofy jego poezji:

Przyjacielu, czemuś nie pojął,
skąd krew pieśni i moc jej czerpie?
Jeśli wierszem staję do boju,
wierszem kocham i wierszem cierpię?

Nie pozwolę nikomu dotknąć
harfy mej — ze stu żył — strunnej,
będę niósł ją, groźną, samotną,
choćby cięższa była od trumny.

Jeśli w pieśni potrzebna ci harfa,
jeśli harfa ma zakłócić pioruny,
rozkaż żyły na struny wyszarpać
i naciągać i trącać jak struny.

Trzeba pieśnią bić aż do śmierci,
trzeba głośniej w ciemnościach syk-
...
jest gdzieś życie piękniejsze od wierszy
i jest miłość, i ona zwycięży.

Wtenczas daj nam, poezjo, najprostsze
ze słów prostych i z cichych —
...
a umarłych w wieczności rozpostrzyj
jak chorągwie podarte na wicherze!
(„Poezja”).

II

Przyczyną wielu błędów, jakie zwykliśmy
popępiać w ocenie najistotniejszych znamion
radykalizmu społecznego, jest niedostatecznie
precyzyjne rozróżnienie pomiędzy dwoma je-
go odmiennymi źródłami humanistycznymi.
Możemy żądać rewolucyjnych zmian społecz-
nych, nienawidząc możnych tego świata —
ale możemy również pragnąć ich, miłując tych,
którzy są krzywdzeni. Jakiegokolwiek zacho-
dziły w tym układzie rzeczy przesunięcia, za-
wsze pierwsze źródło pozostanie skażone uczu-
ciem nienawiści, drugie opromienione blaskiem
miłości. Ten wewnętrzny kryzys radykalizmu
społecznego najjaskrawiej w skali europejs-
kiej obnażył został w twórczości Celine'a.
Pełne szaleńczej furii „Pogromowe drobiazgi”.
(„Bagatelles pour une massacre”) były tylko
ślepa uliczka, która stanowiła naturalny przy-
statek w zniechęceniem przeżartej „Podróży
do kresu nocy”. Ale ten francuski Baryka nie
był tylko — jak kazali nam wierzyć niektórzy
krytycy — jeszcze jednym przejawem kryzy-
su „toczonej ciężką chorobą nadmiaru inteli-
gencji” kultury zachodniej. Setki, tysiące
Celine'ów, często karłów plugawych, a często
i bezradnych olbrzymów, powstało we wszy-
stkich krajach powojennej Europy, aby z fa-
natyczną zaciętością deptać to wszystko, co
wczoraj jeszcze godne było wiary i miłości.
Trudno o tym mówić obojętnie, skoro w na-
szych czasach obraz młodzińca, który spu-
stoszenie wewnętrzne okupował zmianą zna-
czka przynależności partyjnej i zaciętością pięć
zwracał w przeciwnym kierunku, był zjawis-
kiem równie pospolitym, jak w czasach po-
zytywizmu, powiedzmy, obraz lekarza lub nau-
czyciela, pędzącego w wytartym paltociu na
darmową wizytę czy lekcję.

Miał tedy rację Tymon Terlecki, gdy
przed laty nazwał twórczość Łobodowskiego
„poezją Cezarego Baryki”. Nic jednak, nawet
klasyczny umiar i koturnowe dostojeństwo
strof, nie powinno nam przesłaniać tego kłę-
bowiska nieopanowanych namiętności, które
w radykalizmie społecznym po tamtej wojnie
wyzwoliła zwodnicza idea faszystowskiego dy-
namizmu. I nikt też nie zdołał mnie przekonać,
że ów Baryka-Machajski nie mógłby, gdyby
doczekał naszych dni, być równie dobrze
wschodnim urzędnikiem, odbierającym z ca-
łym okrucieństwem wykołonej młodości wol-
ność tysiącom ludzi, jak jednym z tych, co
kastetem usiłovali „zbawić Ojczyznę”.

Na tym tle niewytarciona przez dwadzie-
ścia lat ze swych kolein, samotna, a często

i samotnicza, prawdziwie niepodległa twór-
czość Broniewskiego brzmi jak szlachetny i
prawdziwie twórczy anachronizm.

III

Co bowiem rzuca się odrazu w oczy pod-
czas lektury wierszy Broniewskiego — to za-
dziwiająco jednolity charakter jego poezji.
Jest to tak oczywiste, że aż niepokojące, ten
upór w rozwoju, głęboka wierność samemu
sobie. Nic jednak bardziej błędnego nad takie
obawy. Broniewski konsekwentnie wznosi
pomnik swej własnej samotności. Jeśli nie
zbacza z raz obranej drogi, to nie dlatego, że
nie dostrzega innej, ale dlatego, że chce do
końca wytrwać w tym pięknym, młodzińczym
buncie, który my przecież — „ludzie trzeźwi”
— prędzej czy później porzucamy. O tym na-
leży pamiętać, aby zrozumieć, że liryka jego
jest wbrew pozorom estradowej, chciałoby się
rzec: wiecowej hałaśliwości — nawskroś oso-
bista, a poezja — głęboko samotna.

Powstała w kręgu najbardziej społecznych
wzruszeń, a jednak osobista? Czy to możli-
we? A przecież ta pozorna sprzeczność jest
chyba najsilniej pociągającym fenomenem
poezji Broniewskiego. Ostap Ortwin napisał
kiedyś wnikliwe studium „O lirycie i warto-
ściach lirycznych”, w którym wywodził, że
wartość utworu lirycznego mierzy się zdol-
nością „uprzedmiotowienia najbardziej pod-
miotowych stanów uczuciowych”. Gdyby to
twierdzenie było bezwzględnie prawdziwe,
twórczość Broniewskiego znalazłaby się z na-
tury rzeczy poza nawiasem po ortwinowsku po-
jętej liryki. Gdyż, na odwrót, wydaje się, jak-
gdyby cały jego wysiłek poetycki zmierzał
właśnie do upodmiotowienia najbardziej przed-
miotowych stanów uczuciowych. Wzruszenia
najpowszechniejsze, „serce tłum”, podjęte
ostrożnie i z ogromną czcią, stają się na wiel-
ką skalę odczuty dramatami osobistymi w li-
rycznym wymiarze. Stąd niezwykła zupeł-
nie, nieomal że rezonansowa czułość. Natychmia-
stowa reakcja na wszystko, co społeczne, na
wszystko, co związane z walką. Tylko w ten
sposób wyjaśnić można wyrażne zażenowanie,
z jakim słuchacz jego wierszy okazują gło-
ną aprobatę i dyskrecję, prawie wstydlivość.
z jaką on sam czyta swoje najbardziej rewolu-
cyjne utwory. Tak bowiem jak w prawdzi-
wej, pozbawionej egzaltacji przyjaźni, gdzie
nie ma przecież daryjących i obdarowanych,
nigdy nie wiadomo, kto komu więcej jest wi-
nien. Czy my pocie za nadanie kształtu ar-
tystycznym naszym zmaganiom, czy też on
nam za walkę, której gwałtowny i niepodległy
powiew jedynie jest zdolny trącić „z żył na-
ciągniętych strun” jego poezji.

Ta, sama w sobie już paradoksalna, spo-
łeczna intymność jest największą zdobyczą
liryki Broniewskiego.

IV

Wiążę się z tym zapewne dominujące w
jego poezji poczucie osamotnienia. Istotnie,
od pierwszych wierszy aż po ostatnie, w jed-
nym z których spotkamy takie oto wyznanie:

Moje życie podobne lustru.
w którym zły przegląda się los:
każde prawo i każdy ustrój
w całopalny mnie rzuca stos,

przewija się w poezji Broniewskiego niezaspo-
kojona i niespokojna samotność. Ona też
kształtuje artystyczny wyraz tych wierszy.
W najwcześniejszym tomie („Wiatraki” 1925)
spotykamy utwory, pokrewne skamandry-
kiemu, trochę nerwowemu i rozdrażnionemu
witalizmowi, których wyraźny ekspresjonizm
jest formą krytyki niepokojącej rzeczywisto-
ści:

Palce, jak martwe pajaki, nad czymś
...
W szklanym wazonie powiedły
kwiaty, pachnące karbolem.
Myśli, jak muchy jesienne, żąż,
...
po raz ostatni skrzydłami biją
o okna zamknięte.
(„Śmierć”)

I nagle — ulic flety czarne
zapięły w niebo głośnym hymnem,
zapiszczał cienko, komin — klarnet
i zawtórował fagot rymny,

miedziane trąby wień i dachów
skoczyły w usta chmur bezgłębnych,
a w domów wale, kryte blachą,
wahły pięści gwiazd, jak w bębny —

A kiedy nadszedł świtu finał,
to widać było; coraz szybciej
tramwaju smyczek w takt zacinał
po strunach szyn, wygiętych

w skrzypce.
(„Koncert”)

Rychło jednak musiał Broniewski dostrzec, że
ekspresjonizmem reagują na wrogą rzeczywi-
stość słabi, w groteskowej deformacji otocze-
nia obnażający swą bezsilność. Musiał poszu-
kać innej drogi i odnalazł ją w „Troscie i
pieśni”. Zrozumiał, że do samotności nie wolno
uciekać, że może ona niekiedy być równie prze-
konywującym i groźnym elementem siły, jak
poczucie niezłomnej solidarności ze wszyst-
kim, co żyje. Ta świadomość własnej, nieuleg-
łej i nieulekłej drogi sprawia, że „Troška i

pieśń” staje się manifestem pięknej i czystej,
romantycznej postawy wobec życia. Wystar-
czy uważnie przeczytać dużą ilość wierszy, po-
święconych w tym tomie wybitnym, samotnie
idącym pod prąd indywidualnościom („Baku-
nin”, „Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego”,
„Na śmierć Sacco i Vanzettiego”, „Rim-
baud” — zwłaszcza ostatni, poświęcony wspania-
temu poecie francuskiemu, który kimże był,
jak nie za późno urodzonym, a za wcześniej
dojrzałym romantykiem?), aby pojąć, że osta-
tecznym, z wysiłkiem osiągniętym wyrazem
poezji Broniewskiego jest ton jakiegoś swo-
istego romantyzmu społecznego:

Codziennie myślą mierzył świat,
krokami — celę swą ponura.
Swobodny — wiele ciężkich lat
twe imię w męce szeptał murom.

W łańcuchy skuł go car Mikołaj,
łańcuchów dźwięk wydzwaniał bunt.
Swobodny obszedł świat dokoła
i wszędzie płonął pod nim grunt,

a dziś mu ciąży cisza Berna,
ten śnieg Syberii leży na serce...
„Swobodo, dzika i nieziarna!”
tęsknoto, jakiej nie znał Hercen!”

Zostanie po mnie to, co mam:
wytarty piasek i myśl swobodna.
(„Bakunin”)

O nie, nie śpiewać tym, co klaszczą
i nie iść tam, gdzie śpieszą tłumnie,
lecz pieśnią ważyć się jak jest żąb,
wysokim lotem, groźnie, dumnie,

nikomu pieśni nie dać dotknąć,
czy wznosi wzwyż, czy w otchłań spycha,
czy każe w taką iść samotność,
gdzie żywym niema czem oddychać
... ..

Nie, ty nie będziesz przewoźnikiem
żyjących trupów łodzi wstrętnej,
odejdiesz dumny, obojętny,
i żegnać się nie będziesz z nikim.

Jak gdybyś schodził z tej planety
(ty wiesz, że niema dokąd odejść),
zabierzesz tylko gniew poety,
a wiatrem świata oddasz młodość.

I tak na zawsze. Zamiast wieści,
milczeniem wzgardę przesyłasz tłumom.
Lecz jakież ciębie świat pomieści
z tak wielką dumą i zadumą?

(„Rimbaud”)

Od ekspresjonizmu do romantyzmu pro-
wadzi więc droga twórczości Broniewskiego i
jest ona równie prosta i naturalna, jak droga
młodzińca, który w męski wiek dojrzalej po-
wagi poniosł buntowniczą swą młodość, nie
chcąc nic z niej utracić, a przeciwnie, wszyst-
ko na nowo odzyskać. I gdy myślę, że jest
wśród żywych, uchwytnych i ludzkich idei
społecznych jedna chociażby, której namaca-
ną bliskość czuje ten poeta — nie mogę się
oprzeć przekonaniu: tak, legiony. On to bo-
wiem podjął wygarniętą z wiecznie tłących
się popiołów wszystkich polskich powstań i
dumnie w sierpniowy ranek podchwyconą
pieśń legionów, wzbłął ją wysoko i nie obniżył
lotu nawet wówczas, gdy w chmurnych cza-
sach niepodległej Polski obrosła tłuszcem po-
sad, zaszczytów i przyziemnych swarów. Bo
czyż oni, legionieści właśnie, nie byli kiedyś
romantykami polskiego socjalizmu?

V

Z doskonałego rysunku Feliksa Topol-
skiego¹⁾ wygląda ku nam twarz pomarszczona,
zryta cierpieniem, o boleśnie zaciśniętych
wargach, rzekłbyś: zweglona młodość. A je-
nak gdzieś w głębi oczu czai się niby wesoły
ognik twórcza przekora i niepokonana wiara
Czarusia Baryki. Nie Baryki zwycięskiego, ale
Baryki, który wrócił. Gdyż, choć zapewnia nas
on, że „szedł, iść będzie, idzie”, wiemy dobrze;
jak trudna była ta droga powrotu, wiedząca
przez „krwawy świat”, „cmentarzyśmi idej”,
przeciw „orenberskiemu wiatrowi”. Ale czy to,
że wrócił, nie zobowiązuje nas do niczego?

Cisną się na usta słowa, którymi Żerom-
ski żegnał na wieczne odpoczywanie odchod-
zącego Abramowicza: „biada nam...” I istot-
nie, biada nam, jeśli potępimy ideę tego mło-
dzieńczego buntu, jeśli, osiągnąwszy wiek mę-
ski, zaguszemy w sobie to wszystko, czym
nasza młodość wyrwała się niegdyś ku lepsze-
mu i piękniejszemu światu. Być może, twarde
są prawa życia. Być może nawet, zadaje ono
często kłam naszym rozpętanym rojeniom
wieku dojrzewania. Jedno wszakże jest pew-
ne: nawet największą rozważa nacechowane
poczynania późnych lat naszych, jeśli żyć
chcą wśród ludzi, siłę swą czerpać muszą z tego
niewygasłego porywu młodości, który osa-
dzoneму przez rzeczywistość Broniewskiemu
kazał zawołać:

Ale troska jak rdza przeżarła
mojej pieśni serdeczną moc,
tylko krzyk ściśniętego gardła
głucho ciemną przeszycza noc,

lecz w tym krzyku zostanę młodym,
jeśli grom — niechaj trafia mnie!
Temu światu ja się nie poddam,
temu światu ja krzyknę: nie!

¹⁾ Reprodukowanego w nr. 7 „W Drodze” z
dn. 1 lipca b. r.

ŁUKASZ KURDYBACHA

WŚRÓD ZAGADNIEN SZKOLNYCH

Jednym z dziwnych i bardzo mało na pierwszy rzut oka zrozumiałych zjawisk w tej wojnie jest dyskusja nad zagadnieniami wychowawczymi. Inna rzecz, że zdobyć się na nią potrafili przede wszystkim Anglicy, którym sprawy produkcji wojennej, zaopatrzenia, strategii i t. p. nie przeszkadzały spokojnego spojrzenia na problemy z dziedziny tak odległej od zmagani militarnych. Zaczęło się od rzucenia przez kogoś hasła reedukacji powojennych Niemiec. Zbyt może idealistyczna wiara, że wychowanie na nowych, zdrowych zasadach oparte zrobili z Niemców ludzi dobrych, szlachetnych, pełnych poświęceń i zdolnych do poszanowania praw międzynarodowych, nasunęła przywódcom anglosaskim myśl spojrzenia krytycznym okiem na ich własną, dotychczasową praktykę wychowawczą, a następnie podjęcia próby stworzenia nowych podstaw edukacyjnych. Luźna początkowo dyskusja, toczona w prasie, na zebraniach i w izbach ustawodawczych, przybrała ostatnio formę konkretnych projektów ustaw, które konserwatywne szkolnictwo i wychowanie angielskie pchnęła niewątpliwie na nowe zupełnie tory.

Jeżeli angielska reforma edukacji ma przede wszystkim otworzyć dostęp do źródeł kultury najszerszym warstwom narodu, ażeby przez podniesienie poziomu umysłowego osiągnąć doskonalszą organizację powojennego Imperium, to znów celem marszałka Petaina, dążącego również do zmiany dotychczasowego systemu wychowawczego, jest przygotowanie moralne narodu francuskiego do zmycia w przyszłości hańby wstrząsającej klęski militarnej.

Charakterystyczne te dążenia, z różnych płynące pobudek, a przypominające swoim rozmachem i zapałem XVIII stulecie, nasuwają nam szereg refleksyj na tematy naszych własnych spraw wychowawczych, które już przed wojną budziły zastrzeżenia, a w Polsce powojennej będą się domagały konkretnych rozstrzygnięć.

Polska tradycja wychowawcza, sięgająca swymi początkami XVI stulecia, wykazuje gorące przywiązanie do kultury klasycznej ściślejszej łacińskiej. Na wzorach starorzymskich wychowywali się nie tylko wszyscy nasi statysci epoki Jagiellońskiej, ale i wszyscy nasi bohaterowie narodowi XVIII i XIX w., kształtując swoje cnoty na przykładzie Scipionów, Mucjuszów i Agryppów. Co więcej, polska szkoła ogólnokształcąca o przewadze przedmiotów humanistycznych, pielęgnowana troskliwie w miarę możliwości we wszystkich trzech zaborach, była jedną z najpoważniejszych redut, odpięających skutecznie wszystkie ataki germanizacyjne i rusyfikacyjne. Z chwilą jednak odzyskania niepodległości stanęły przed szkołą nowe, trzeba przyznać, bardzo trudne zadania. Samo budzenie ducha narodowego i krzewienie gorących uczuć patriotycznych, przy pewnej sumie wiadomości ogólnych już nie wystarcza organizmowi państwowemu. Musi on bowiem obok pielęgnowania wartości idealnych spełniać codziennie tysiące czynności konkretnych, wymagających przygotowania fachowego. A tego dotychczasowa szkoła ogólnokształcąca nie dawała. Nie mogło też zaspokoić różnorodnych potrzeb życia codziennego nasze szkolnictwo wyższe. Z natury rzeczy przygotowywało ono elitę narodu, predestynowaną do zadań wyższych, kierowniczych.

Ponieważ jednak społeczeństwo nie wyłaniało równocześnie z siebie kandydatów na biegłych wykonawców dyrektyw i planów jednostek z wykształceniem akademickim, wytworzyła się u nas paradoksalna sytuacja: za dużo mieliśmy kandydatów na stanowiska wyższe, kierownicze, a brakowało niemal zupełnie fachowców ze średnim wykształceniem. Magister praw, przybijający pieczęć na pocztach, inżynier wodny, organizujący np. spółdzielnie mleczarskie — nie był wcale zjawiskiem wyjątkowym. Wywołało ono bardzo pochopny i płytki wniosek o rzekomej nadprodukcji inteligencji. Przy naszym ogólnym, stosunkowo niskim poziomie intelektualnym, frazes o zbyt wielkiej ilości inteligencji brzmiał niemal tragicznie.

Na tle naszkicowanej sytuacji łatwiej zrozumieć ostatnią reformę szkolną z r. 1932. Najwartościowszą jej zdobyczą było wprowadzenie w życie — przynajmniej teoretycznie — szeroko pomyślanego szkolnictwa zawodowego na stopniu średnim i niższym. Zrównanie ustawodawcze średnich szkół zawodowych z gimnazjami ogólnokształcącymi i nadanie im nazw gimnazjów miało przełamać niechęć naszego społeczeństwa do wykształcenia zawodowego, które w opinii publicznej uchodziło za coś niższego.

Śluszne zamierzenia ustawodawcy napotkały przy realizowaniu ich na duże zasadnicze przeszkody. Pierwszy z nich polegał na braku odpowiednio przygotowanego personelu nauczycielskiego. Inżynierowie, majstrzy, technicy, kierownicy warsztatów byli nastawieni na pracę zarobkowo-wytwórczą, a nie na nauczanie, które zawsze wymaga dodatkowego, pedagogicznego przygotowania. Gdyby się władzom oświatowym udało nawet w szybkim tempie doszkolić grona nauczycielskie dla nowopowstających szkół zawodowych, to na skuteczne zwalczanie drugiej przeszkody nie znalazłoby się do wybuchu wojny wystarczających środków zaradczych. Były nią finanse. Orga-

nizacja szkolnych warsztatów pracy, zdobycie odpowiednich maszyn, obrabiarek, narzędzi i t. p., wymagały dużych stosunkowo wydatków, a dla ich pokrycia nie umiano znaleźć źródła.

Jeżeli budżetu szkolnictwa — jak twierdzą niektórzy ekonomiści — nie można było istotnie powiększyć, to trzeba było szukać źródeł pokrycia wydatków na terenie samych szkół. Byłaby to niewątpliwie operacja bardzo niepopularna, ale konieczna i wypływająca konsekwentnie z ducha ustawy o reformie szkolnej. Popierała ona, czy nawet faworyzowała szkolnictwo zawodowe. Wobec jednak wielkiej, zbyt wielkiej ilości gimnazjów i pędu społeczeństwa do posyłania dzieci tylko do szkół ogólnokształcących, nawet najlepiej wyposażone szkoły zawodowe mogłyby z trudnością zdobyć niezbędny komplet uczniów.

Olbrzymia przewaga gimnazjów ogólnokształcących nad zawodowymi nie była niewątpliwie objawem zdrowym. Powodowała ona bowiem zbyt jednostronny rozwój społeczeństwa, pozbawiając je tak niezbędnych w współczesnym życiu odpowiednio umysłowo i fachowo przygotowanych majstrów, techników, mechaników, kupców i t. p. Okazało się to najdotkliwiej tuż przed samą wojną w czasie organizowania i budowy C.O.P., kiedy trudno było, a czasem wprost niemożliwe znaleźć pracowników do obsługi stosunkowo mało skomplikowanych maszyn.

Spodziewany rozwój przemysłu po wojnie zaostriżesz ten problem i będzie się domagał szybkiego rozwiązania pod groźbą zahamowania harmonijnego rozwoju społeczeństwa. A jedną z dróg zapewnienia narodowi normalnej, nowoczesnej struktury będzie ograniczenie ilościowe gimnazjów ogólnokształcących na rzecz szkół zawodowych. Gimnazja zawodowe zdobędą w ten sposób z jednej strony większą ilość uczniów, którzy nie mając zdolności do przedmiotów ogólnokształcących, niepotrzebnie dotychczas marnowali czas na ławkach gimnazjów o przewadze przedmiotów humanistycznych, z drugiej zaś strony zyskają fundusze, wydawane dotychczas na utrzymanie nadmiernej ilości szkół ogólnokształcących.

Ogólny poziom umysłowy społeczeństwa nie bynajmniej na tej zamianie nie straci. Gimnazja zawodowe zapewniają bowiem każdemu uczniowi możliwość zdobycia pewnej sumy wiadomości ogólnych, niezbędnych dla wyrobienia i kultury osobistej jednostki, która w dodatku pomimo ukończenia szkoły zawodowej ma możliwość wstąpienia na uniwersytet. Podniesie się natomiast wydatnie w Polsce poziom przygotowania zawodowego, co przy równoczesnym zdobyciu kultury ogólnej może przynieść w rezultacie pewną przebudowę naszego charakteru narodowego; stępi wybujałość cech romantycznych na rzecz zdrowego realizmu życiowego. Inaczej mówiąc, upodobni nas bardziej do Anglików, którzy swoją zrównoważoną postawą tak nam imponują w tej wojnie.

Zmniejszenie ilości gimnazjów ogólnokształcących wpłynie również dodatnio na ich dalszy rozwój. Zmusi je przede wszystkim do ściślejszej niż dotychczas selekcji zgłaszających się uczniów. I to selekcji prawdziwej, opartej na zbadanych dokładnie kwalifikacjach umysłowych dziecka, a nie możliwościach finansowych i pozycji społecznej rodziców. Mniejsza ilość uczniów istotnie najzdolniejszych pozwoliłby wreszcie gimnazjom podnieść poziom naukowy, który w ostatnich latach przed wojną budził coraz więcej słusznych i poważnych zastrzeżeń.

Ostatnia reforma szkolna spowodowała istotnie obniżenie poziomu umysłowego gimnazjów ogólnokształcących. Odebrała ona przede wszystkim dawnemu gimnazjum dwie pierwsze klasy na rzecz szkoły powszechnej, wychodząc z teoretycznego założenia, że nauczyciel szkoły powszechnej potrafi doskonale spełnić rolę swego kolegi ze szkoły średniej. Nie mając najmniejszego zamiaru umniejszać zasług, poświęceń i zapału nauczyciela szkoły powszechnej, trudno nie stwierdzić, że nałożone na niego zadanie przerastało jego siły. Zarówno z doświadczenia jak i z praktyki był on przygotowany do uczenia młodzieży tylko najprostszymi elementami, a nie do przygotowania jej do studiów wyższych. Nie pozwalały mu na to i specyficzne warunki pracy. Nauczając przeważnie w małych miasteczkach i wsiach, odległych od wszelkich bibliotek i jakiegokolwiek ruchu umysłowego, nie mógł on rozszerzać swojej skromnej wiedzy, wyniesionej z seminarium nauczycielskiego. W dodatku w dwu ostatnich klasach szkoły powszechnej istniały duże odrębne grupy młodzieży. Pierwsza z nich, przeważająca liczebnie, miała na szkole powszechnej zakończyć swoje wykształcenie, druga natomiast, mniejsza, szukała wiadomości, pokrywających się z poziomem dawnych dwu pierwszych klas gimnazjalnych. Traktowanie oddzielnie obydwu grup ze względów dydaktycznych było niemożliwe. Stworzenie zaś z dwu ostatnich klas czegoś pośredniego między szkołą powszechną, a gimnazjum nie mogło zadowolić nikogo, gdyż każda z tych szkół miała swoje własne, zupełnie różne cele i zadania. W tych warunkach nasza szkoła powszechna — sprzed wojny nie mogła przygotować swych wychowanków do czekających jej zadań życiowych, ani też spełnić drugiego, narzuconego jej do-

datkowo zadania, zastąpienia dla pewnych uczniów dwu pierwszych klas gimnazjalnych.

Musiło się to oczywiście odbić ujemnie na poziomie gimnazjum. Zaczyna ono kształcenie swoich wychowanków jakby od początku, ucząc powtórnie szeregu przedmiotów, które obowiązywały już w szkole powszechnej. Ale ze względu na to, że dysponuje tylko okresem czterech lat (zamiast dawnych ośmiu), musi uczyć w pobieżnych skrótach, w obrazkach, czy, jak to się mówiło, w „przekrojach poprzecznych“. — Są one zbyt luźne, nieczym się sobą nie spójne. Przy nauczaniu n. p. historii w klasie II-giej zdobywa uczeń nieco szczegółów o historii Francji przy omawianiu monarchii Karola Wielkiego, a potem dopiero z czasów Joanny D'Arc. W rezultacie wielu nawet zdolnych uczniów sądzi, że była ona córką Karola Wielkiego.

Z tymi bardzo fragmentarycznymi wiadomościami, niemal zupełnie ze sobą niepowiązanymi, przechodzi uczeń od liceum i tu znów zaczyna od początku. Nazywa się to rozszerzaniem i pogłębianiem wiadomości w ramach obszernych zagadnień. Wybór ich jest zupełnie przypadkowy, w każdym razie najmniej zależny od zainteresowań ucznia, których on nie miał czasu rozwijać. Ostateczny efekt jest taki, że uczeń przychodzi na uniwersytet bez opanowania całości — oczywiście na poziomie średnim — jakiegokolwiek dziedzinny wiedzy, a poznane przez niego szczegóły oderwanych od siebie działów poszczególnych nauk ulatują mu szybko z pamięci. W rezultacie — zwłaszcza przedmioty humanistyczne — znów musi poznawać od początku, choć uniwersytet nie ma na to czasu, ani nie jest to jego zadaniem.

Szkodliwej trójstopniowości w nauczaniu można unikać jedynie przez przyłączenie ostatnich dwu klas szkoły powszechnej do gimnazjum i powrót do jednolitej ośmioletniej szkoły średniej.

Modnych swego czasu argumentów psychologicznych, przemawiających za podziałem wykształcenia średniego na poziom gimnazjalny i licealny, doświadczenie dotychczasowe nie potwierdziło. Zwolennicy tego podziału twierdzili, że w szesnastym czy siedemnastym roku życia każdego dziecka krystalizują się całkowicie jego zainteresowania intelektualne i są one tak wyraźne i silne, że chłopak czy dziewczyna wybierze sobie łatwo odpowiedni typ liceum, dostosowany do własnych zdolności i zamiłowań. Tymczasem przez dwa lata przed wojną, w których już działało szkolnictwo licealne, miła koleżanka, sympatyczny nauczyciel, odległość szkoły od domu daleko większą odgrywały rolę w wyborze typu liceum, niż osobiste zainteresowania, które często budzą się o wiele później. Wiele wypadków studentów, przechodzących na uniwersytecie przez parę lat z wydziału na wydział, zanim trafią na najbardziej im odpowiadającą dziedzinę wiedzy, wskazuje, iż okres budzenia się zainteresowań intelektualnych jest raczej o kilka lat późniejszy i krystalizuje się ostatecznie w czasie studiów wyższych. Tym samym odpada jedna z racji, przemawiających za podziałem szkoły średniej na gimnazjum i liceum.

W wypadku ograniczenia po wojnie liczby szkół ogólnokształcących podział liceów na różne typy będzie niezwykle trudny. Jedno liceum typu np. matematyczno-fizycznego wypadnie mniej więcej na całe województwo. Przy całkowitym niemal braku w Polsce odpowiednio rozbudowanej sieci internatów i burs, skierowanie chłopca czy dziewczyny do odpowiadającego ich zainteresowaniom typu liceum okazałoby się wprost niemożliwe.

Takie czy inne zmiany organizacyjne muszą z sobą pociągnąć przebudowę programu nauczania. Powinna ona pójść zasadniczo w dwu kierunkach. Pierwszy z nich miałby na celu umożliwienie młodzieży pogłębienia, gruntowniejszego opanowania poszczególnych przedmiotów w porównaniu do stanu dzisiejszego. Drugi natomiast powinien wprowadzić nowe przedmioty, jak np. drugi język nowożytny, przynajmniej w zakresie życia codziennego, elementy socjologii, praktyczne podstawy jednego z zawodów rzemieślniczych (np. kierowanie pojazdami mechanicznymi) itp. We wszystkich szkołach żeńskich należałoby wprowadzić obowiązkową, praktyczną i teoretyczną naukę gospodarstwa domowego; w wydzielonej Polsce, potrzebującej olbrzymiej ilości rąk do pracy, rzadko prawdopodobnie która pani domu będzie sobie mogła pozwolić na utrzymanie doświadczonej służącej.

Najbardziej jednak zasadniczej przebudowie trzeba będzie poddać szkolnictwo powszechne. Jak długoletnie doświadczenie wykazało, dotychczasowy obowiązek szkolny, sięgający do 14, względnie 15 roku życia okazał się niewystarczający. Młoda bowiem dziewczyna, czy chłopak, opuszczający szkołę powszechną, nie był ani prawnie, ani faktycznie zdolny do żadnej pracy zawodowej. Nawet na wsi — wobec jej przeludnienia — wychowankowie szkół średnich przez kilka dobrych lat byli raczej ciężarem rodziców, nie mówiąc już o wynikającym z bezczynności niebezpieczeństwie złych wpływów na wrażliwe dusze młodzieńcze. Najbardziej racjonalnym wyjściem z tej sytuacji będzie przedłużenie obowiązku szkolnego

go do lat 17, czy nawet za wzorem angielskim — 18, z tym jednak, że ostatnim dwu, względnie trzem klasom szkoły powszechnej nada się odmienny niż dotychczas charakter. Samo powtarzanie i pogłębianie elementów wiadomości ogólnych przyniesie młodzieży nie wiele korzyści, zwłaszcza że zaraz po opuszczeniu ław szkolnych czekają ją konkretne zadania życiowe. Daleko racjonalniejsze będzie, jeżeli do trzech, względnie czterech ostatnich klas wprowadzi się obok przedmiotów ogólnokształcących elementy przygotowania zawodowego. Będzie to z jednej strony nawiązanie do tradycji Komisji Edukacji Narodowej, która tak właśnie wyobrażała sobie rolę szkolnictwa elementarnego, z drugiej zaś najlepsze wykorzystanie ośmiu czy nawet dziewięciu lat pobytu dziecka w szkole powszechnej. Oczywiście, w przygotowaniu zawodowym należałoby wprowadzić dużą różnorodność, zależną od potrzeb i warunków danej okolicy.

Przed polską szkołą powojenną stanie wreszcie jedno jeszcze pytanie, bardzo stare, ale nie mniej ciągle aktualne: czy szkoła ma przede wszystkim nauczać, czy wychowywać. Problemu tego dotychczas szkolnictwo nasze nie potrafiło odpowiednio rozwiązać. Obarczone różnymi obowiązkami administracyjnymi, skrupowane programem naukowym, który trzeba wykonać, mało miało czasu na wychowanie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Najlepiej jeszcze wychowywało przez nauczanie; przez odpowiednio dobraną lekturę, pogadanki, dyskusje dawało młodzieży intelektualne i emocjonalne normy postępowania. Ale na praktykowanie tych norm, realizację codzienną wyznaczanych zasad, wdrażanie do etycznego postępowania w konkretnych sytuacjach życiowych, czyli na kształcenie trwałych cech dobrego charakteru nie było w szkole ani miejsca, ani czasu. Dziedzinę tę zasadniczo pozostawiano niemal całkowicie kompetencji domu rodzicielskiego. Ten zaś wielokrotnie nie mógł wywiązać się z zadania. Zjawisko pracy zawodowej obojga rodziców nie było przecież w ostatnich latach przed wojną zbyt rzadkie, a po wojnie stanie się coraz częstsze, jeżeli nie przejdzie wprost w regułę. Jak w tych warunkach da się rozwiązać zagadnienie wychowania młodzieży, nie podobna obecnie przewidzieć. Można jedynie wskazać drogi, wypróbowane już na Zachodzie. Pierwsza z nich polegałaby na zorganizowaniu zajęć szkolnych rano i popołudniu, co zapewniłoby lepszą opiekę młodzieży w czasie pracy rodziców i pozwoliłby szkole oddziaływać przez więcej godzin dziennie na wychowanków. Druga natomiast, bardziej kosztowna, ale i równocześnie bardziej skuteczna, jeżeli nie wprost idealna, poszłaby za wzorem angielskim w kierunku szkolnictwa internatowego. Wtedy szkoła ponosiłaby całkowitą odpowiedzialność za wychowanie młodzieży, ale równocześnie posiadałaby doskonałe warunki do wywiązywania się z nałożonych na nią obowiązków.

Najdoskonalsza ustawa, najlepiej opracowany program i odpowiadające wszelkim wymaganiom gmachy szkolne nie spełnią jednak swego zadania, jeżeli nie będą oddane w ręce odpowiednim ludziom. Stara to prawda, jak świat, ale mimo to nie podobna jej tutaj nie powtórzyć. Ogół naszego społeczeństwa mało się orientuje, że szkolnictwo nasze przed wojną stało niemal że przed całkowitą ruiną właśnie z powodu nie przestrzegania tej starej maksymy.

Nauczyciel przed wojną — zwłaszcza nauczyciel szkoły powszechnej — poddany kaprysom starosty, różnych szefów bezpieczeństwa, a nawet policjantów, należał w dodatku do najgorzej wynagradzanych pracowników państwowych — mimo olbrzymich, nałożonych nań zadań był lekceważonym pariasem. Zaniedbał on ciągle o posadę, którą lada niesprawdzone doniesienie mogło mu odebrać, borykający się ustawicznie z trudnościami utrzymania rodziny, pozbawiony możliwości kupienia jakiegokolwiek książki, odstraszał swoją dolą tych, którzy zamierzali poświęcić się zawodowi pedagogicznemu. Co energiczniejszy, czy mający jakieś stosunki, przyjmował skwapliwie pierwsze lepsze stanowisko, byle lepiej płatne, w innym zawodzie. Doszło do tego, że w ostatnim roku przed wojną brakowało już całkowicie mężczyzn, chcących objąć posady nauczycielskie. Widoków na poprawę pod tym względem nie było żadnych. Mężczyzn na wydziałach humanistycznych uniwersytetów, które przecież przygotowywały najwięcej nauczycieli, można było policzyć na palcach; a i z pomiędzy nich mało kto wybierał się do pracy w szkolnictwie.

Jeżeli te objawy nie mają się znów powtórzyć, położenie nauczycieli zarówno pod względem moralnym, jak i materialnym musi ulec radykalnej poprawie, i to pod groźbą całkowitej ruiny edukacji narodowej.

Rzucona tu garść uwag i projektów nie wyczerpuje bynajmniej całosci zagadnienia. Jest to zaledwie lekko zarysowany szkic czy też zagajenie dyskusji, względnie przypomnienie problemu, o którym nigdy nie jest za wcześnie myśleć i pisać. Rozwiązanie jego bowiem musi nastąpić szybko po wojnie, jeżeli istotnie mamy wkroczyć w nową erę naszego rozwoju dziejowego.

Współczesna orientalistyka polska, posiadająca chlubną kartę w wielu dziedzinach wschodoznawstwa, do okresu wojny nie przystąpiła do opracowania wymienionego w tytule tematu. O ile nam wiadomo, Joachim Lelewel i Karol Szajnocha byli jedynymi, którzy się tą dziedziną zajmowali.

Przyczyn tego zaniedbania jest wiele. Mało w tej dziedzinie pr. przedwstępnich. Wiadomości o Polakach i ich adach zachodniosłowiańskich szukać należy w dziełach, pochodzących z okresu, w którym język arabski tracił poczyna swe stanowisko międzynarodowe na Wschodzie, powoli przestaje być ważnym językiem kultury i literatury Bliskiego Wschodu. Kancelarie dyplomatyczne, a w ślad za nimi uczeni, poczynają się posługiwać językami narodowymi, perskim i tureckim. Rozpoczynają się upadek nauki arabskiej, której epigoni zadowalają się zbieraniem dawniejszych materiałów i redakcją ich w lekko zmienionej wersji. Jednak najistotniejszy bodaj że powód to ten, że dla uczonych Wschodu, azkołowiek byli wśród nich ludzie miary światowej, którzy zajmowali się geografią i historią — w najszerszym tego słowa znaczeniu — wszystkich ludów znanych im świata, Polska i jej słowiańscy sąsiadzi to były, choćby ze względu na odległość geograficzną, obszary szóstego i siódmego klimatu wedle znanego podziału starożytnego) kraje najmniej przez Arabów odwie-

J. W. HIRSCHBERG

POLSKA W ŚREDNIOWIECZNEJ LITERATURZE ARABSKIEJ

się nawet z faktem, że człowiekowi słusznego wzrostu o niebieskich oczach i rudych włosach dodaje się do imienia przydomek as Saklabi, to zn. słowiański.

2. Państwo Świętopelka

O państwie wielko-morawskim opowiada nam Ibn Rusteh, uczyony, który żył u schyłku IX. w. i z początkiem X. w.: „Między krajem Badżanak a krajem Słowian droga 10 dni. Na samej granicy kraju Słowian miasto zwane Kraków. Jedzie się do tego kraju przez stępy, bezdroża, źródła i gęste lasy, aż się do niego przybywa. Kraj zaś Słowian jest nizinny i zalesiony, a oni go zamieszkują. Nie posiadają winogrodu ani pól uprawnych. Posiadają rodzaj dzbanów z drzewa a w nich ulę pszczelne i miód; nazywają je „ulush“ (najprawdopodobniej ul).

Jeden ul wydaje około 10 dzbanów miodu. Nardó ten wypasa świnię na wzór trzody. Gdy ktoś z nich umiera, spalają go w ogniu.

obok morza. Zdaje się, że autor istotnie słyszał cośkolwiek o świątyniach nadbałtyckich Słowian, i postępując się zaczerpnęty mi składs egzotycznymi wiadomościami, dał legendarny opis potężnych budowli, wzniesionych ku czci bogów, których opis w 15cie wschodnim stylu znajdujemy również u autora.

Masudi jeszcze kilkakrotnie opisuje nam zwyczaj i obyczaje Słowian. Szczególną uwagę poświęca — podobnie jak i inni Arabowie — dziwnym dla niego obrzędom pogrzebowym i dobrowolnej śmierci wdowy, którą się po śmierci męża spala. Widzi on w tym podobieństwo do obrzędów hinduskich. Ciekawy jest również opis fałni słowiańskiej: „budują dom z biewion, szczeliny zatykają mchem. Następnie ustawiają w jednym rogu palenisko z

kamieni. W dachu wybijają otwór dla dymu. Gdy kamienie są rozpalone, zamykają drzwi i zatykają otwór dla dymu, kamienie zaś polewają wodą. Unosząca się para oczyszcza ich ciała. W rękę mają wiązanki liści“. Dziwna natomiast jest jego wzmianka („Bibl. Geograph. Arab.“, VIII, 83), że „Grecy, Rzymianie, Słowianie i Frankowie i sąsiadujące z nimi narody północny posiadają wspólny język i jednego króla“.

Geograf z X. wieku, al Istachri, dzieli Rusinów na trzy plemiona i wspomina jako stolicę jednego z nich Kijów „Kujaba“).

4. Polska i jej sąsiedzi

Pierwsze wiadomości o Polsce przekazał nam Żyd hiszpański względnie późn. afry-

kański Ibrahīm Ibn Jakub. Żył on w połowie X. w. i byłwał na dworze cesarza niemieckiego Ottona I. Kraje zachodnio-słowiańskie zna on z autopsji i daje nam cały szereg nader ścisłych i trafnych opisów stosunków, panujących w państwach słowiańskich. Brak tu zupełnie motywów legendarnych i baśni, tak częstych w średniowiecznej literaturze naukowej w ogóle, a arabskiej w szczególności. Raz tedy, gdy opowiada coś, co wydaje mu się nieprawdopodobnym, nadmienia z naciskiem, że zwrócił się z zapytaniem do cesarza Ottona I, który potwierdził prawdziwość informacji. Niestety, opisy jego podróży zachowały się tylko w wyciągu Abd Allaha al Bekri, Araba hiszpańskiego (zmarł w r. 1094), znanego uczonemu, autora kilku dzieł z dziedziny geo-

grafii, historii i poetyki. Pozwólmy zabrać głos naszemu podróżnikowi, choćby dla przytoczenia urywków: „),obecnie panują nad nimi (Słowianami) czterej królowie: król Bułgarów, Bolesław (Bojislaw), król Pragi (Fraga) Czech i Krakowa, Mieszko, król Północy i Nakon na skrajnym Zachodzie.“). Sąsiadując z państwem Nakona Saksoni i część Germanów... Powiadają, że stolica Nakona jest

1) Tłumaczymy na podstawie tekstu, opublikowanego przez A. Kunika i W. Rozena, Iwliasta Albekri str. 233—42.

2) Nakon i brat jego Stoigziew byli księżętami Cobotryłów, należących do szczepów Słowian Polskich. Walczyli oni z Saksonami. Kraje te rozciągały się na terenach obecnego Magdeburga w Niemczech.

twierdzą, zbudowaną na wyspie w środkowym jeziorze. Słowianie zaś budują większe swych twierdz w ten sposób: udają się na łaki, bogate w wodę i szuwar, wyciągają linie okrągłe, względnie prostokąt, zależnie od formy i obszaru, jaki pragną dać swej twierdzy. Następnie kopią wokoło rów, usypując wykopaną ziemię w wał, umacniają go deskami i pianą na wzór ściany, aż osiągną pożądaną wysokość. Następnie ustawiają bramę po stronie, po której ludzie chcą. Dojście do bramy prowadzi przez drewniany most. Od tej twierdzy do Bałtyku 11 mil. Wojska docierają do państwa Nakona z wielkim wysiłkiem, albo winem kraj cały to łaki, szuwały i torfowiska.

Długość państwa Bolesława od miasta Pragi do Krakowa wynosi drogę trzech tygodni i odpowiada długości państwa Turków (Węgrów-Madziarów). Praga wybudowana z kamieni i wapnia należy do najstarszych handlowych miast. Przybywają do niej Rusini i Słowianie z towarami z Krakowa, zaś z kraju Turków mużulmani, Żydzi i Turcy również z towarami... jest rzeczą nader ciekawą, że również opis Polski, Balunia. Niestety jednak dotarły do al Idrisiego bardzo dziwaczne wiadomości o ówczesnej Polsce. Opowiada on, że żyje tam wielu uczonych, przybywają w te strony Grecy, oraz że rosie tam winna lato-rośl i drzewo oliwkowe. Bardziej ściśle wiadomości czerpiemy z map. Zaznaczone są tam następujące miasta: Kraków (Akarakal), Gniezno (Genazia), Płock (Benklai), Przemysły (Sermali, wzgl. greckie Tuia), Zamość (Zamnu), Halicz (Galisia).

Nad Bałtykiem leży Gdańsk. Nazwę arabską trudno odczytać; najchętniej czytaliśmy ją Gadanin, względnie coś podobnego. Na mapie Idrisiego Wisła nazywa się Fitlu. Tak tak wyraźnie na karcie paryskiej; wydawca zaś atlasu Idrisiego Konrad Miller odczytał fałszywie Katalu. Ma ona dwa ujścia, jedno obok szwedzkiego miasta Sigtuna (Szwecja położona jest u Idrisiego na południowym brzegu Bałtyku), drugie ramię przepływa przez Fimmarken i wpada do morza obok Kalmar, również szwedzkiego miasta. Idrisi zaznacza też bieg Dniestru (Dnast wzgl. Dnest), który wypływa z gór Kark (Karpaty).

ciw Arabom. Świadcstwo o tym zachowało się również w poezji arabskiej. Słynny poeta al Mutannabi (połowa X. w.) w wierszu pochwalnym (Dywan 227 w 14) na cześć Saif ad Daula wspomina wyprawę bizantyjską z lat 954—5, powiadając: „Jakże mogą Rumowie (Bizantyjczycy) i Rusini mieć nadzieję ją (twierdzę pograniczną Hadath) zniszczyć, jeśli jej obrońcę jest Saif ad Daula? „W następnym roku znów przedsięwzięli Grecy wyprawę przeciw Hadath, uczynili wykom w murach, lecz musieli się cofnąć. I do tej wyprawy znajdujemy aluzję u al Mutannabi (wiersz 242, w 12): „Cesarz bizantyjski skupia wokoło Hadath Rumów, Słowian i Bułgarów, ty zaś (Saif ad Daula) skupiasz (im) zagładę“.

7. Mapa świata

Przenosimy się w w. XIII do Palermo. Tu na dworze króla Sycylii Rogera II żyje Idrisi, potomek księcia arabskich, słynny geograf, arabski Strabon. Dzięki poparciu materialnemu swego królewskiego mecenasa i jego wybitnej pomocy przy zbieraniu materiałów opracował al Idrisi mapę świata. Po 15-letniej pracy zostaje ona wydana w r. 1154 jako wielkie dzieło geograficzne z dużym atlasem, zawierającym 70 kart, i wrysie — dla utrwalenia — w srebrze. Srebrną mapę rozbiłi najędźcy i podzielili się lupem. Książka jednakże z atlasem ocalała i zachowała się w kilku odpisach w bibliotekach. Rzecz prosta, że znajdujemy tu również opis Polski, Balunia. Niestety jednak dotarły do al Idrisiego bardzo dziwaczne wiadomości o ówczesnej Polsce. Opowiada on, że żyje tam wielu uczonych, przybywają w te strony Grecy, oraz że rosie tam winna lato-rośl i drzewo oliwkowe. Bardziej ściśle wiadomości czerpiemy z map. Zaznaczone są tam następujące miasta: Kraków (Akarakal), Gniezno (Genazia), Płock (Benklai), Przemysły (Sermali, wzgl. greckie Tuia), Zamość (Zamnu), Halicz (Galisia).

Nad Bałtykiem leży Gdańsk. Nazwę arabską trudno odczytać; najchętniej czytaliśmy ją Gadanin, względnie coś podobnego. Na mapie Idrisiego Wisła nazywa się Fitlu. Tak tak wyraźnie na karcie paryskiej; wydawca zaś atlasu Idrisiego Konrad Miller odczytał fałszywie Katalu. Ma ona dwa ujścia, jedno obok szwedzkiego miasta Sigtuna (Szwecja położona jest u Idrisiego na południowym brzegu Bałtyku), drugie ramię przepływa przez Fimmarken i wpada do morza obok Kalmar, również szwedzkiego miasta. Idrisi zaznacza też bieg Dniestru (Dnast wzgl. Dnest), który wypływa z gór Kark (Karpaty).

Dzieło i atlas Idrisiego wykorzystali Joachim Lelewel, opracowując swą 4-tomową „Géographie du Moyen Age“, wydaną wraz z epilogiem i atlasem w latach 1851—7 w Brukseli. Lelewel włożył wiele rzetelnego wysiłku w tę pracę, tak że posiada ona po dzień dzisiejszy podstawowe znaczenie. Niestety, jednak warunki na emigracji nie pozwoliły mu wydać karty atlasu Idrisiego (w atlasie swym umieścił Lelewel 27 z ogólnej liczby 70 wzgl. 69 kart Idrisiego) w takiej szacie, na jaką zasłużył i jak tego pragnął. Obecnie posiadamy wydanie „Mappae arabicae“ K. Millera, wydane w r. 1926, w którym są odbitki fotograficzne wszystkich kart atlasu Idrisiego. Istnieje więc możliwość nowego opracowania Polski i sąsiednich krajów słowiańskich.

Autoryzy XIII i XIV w.

W kronice Ibn al Athira (ed. Tornberg, XII, 253), sięgającej tylko do r. 628 H. (1230), znajdujemy opis najazdu Tatarów (naprawdę Mongołów) na Ruś w r. 1223 (620 H) oraz ich taktyki wojennej.

W dziełach takich autorów XIII XIV w. jak al Qazwini, al Dimisiki, Ibn Batuta (słynny podróżnik XIV w., który objechał większość znanego wówczas świata i dotarł do Indii oraz Chin. Był on również w kraju kipczackim) itd. nie znajdujemy niestety nie ciekawego o Słowianach. Widoczny jest już upadek nauki arabskiej, która w tym okresie zadowalała się często skrajną kompilacją materiałów. A więc powtarzają oni znany nam raport al Kalbiego, wiadomości Ibn Fadlana, al Masudiego i t.p. Należy jednak podkreślić wybitne zasługi słynnego geografa i erudyty Jakuta, który aczkolwiek również był tylko kompilatorem, jednakowoż, mając możliwość pracy w największych bibliotekach arabskich, zebrał w swym sześciotomowym „Słowniku Geograficznym“ wiele materiałów, odnoszących się do Słowian, z dzieł, które zaginęły względnie dotychczas nie są wydane.

Oto krótki, wcale niekompletny szkic wczesnych źródeł arabskich do dziejów Słowian, w tym Polski. Wybraliśmy tylko najistotniejsze i najciekawsze. Kto umie czytać, znajdzie moc analogii z późniejszymi dziełami Polski i potrafi je zaktualizować dla naszej epoki: zachodnie granice Słowian, walki Nakona z Germanami, opis Prusaków, stanowisko Gdańszczan, kontakty ze Wschodem, następnymi sąsiedzi, i t.d.

Warto by zebrać wszystkie te teksty i wydać w oryginalnej wraz z naukowym tłumaczeniem w języku polskim i angielskim oraz objaśnieniami. Tu na Wschodzie istnieje ku temu możliwość wydawnicza, lepsze bodaj niż w Kraju. Należy też zebrać materiały do drugiej części wydawnictwa, która objąć powinna materiały arabskie do późniejszych dziejów Polski. Zadaniami turkologów i iranistów będzie wykorzystanie archiwów i kancelarii państwowych tureckich i perskich oraz bibliotek dla zebrania odpowiednich tekstów w językach tureckim i perskim.



Mapa Polski w atlasie geograficznym Al-Idrisiego z r. 1154 (rękopis paryski). Przebiegu napis „Kraj Bołonia“. Zaznaczone miasta: Akarakal (Kraków), Gzazna (Gniezno), Banklaja (Płock), rzeka Fitlu (Wisła) i t. d. Pasma górskie Karpat. Sąsiaduje z Polską kraj „Buamia“ (Czechy) oraz „Ankaria“ (Węgry).

dzane i dlatego też najsłabiej znane. Jednakowoż przy bliższym zaznajomieniu się z dziełami arabskimi okazuje się, że sceptycyzm ten jest nieuzasadniony.

1. Pierwszy kontakt

Równocześnie prawie z zetknięciem się ze światem europejskim poznają Arabowie i Słowian. Mają sposobność zetrzeć się z nimi na placu boju, wielu ich bowiem służy w wojsku bizantyjskim, w którym mają ustaloną opinię dzielnych żołnierzy. Chętnie więc cesarze bizantyjscy nabywają jeńców słowiańskich, których następnie wcielają do armii i osiedlają w twierdzach pogranicznych. Jedną twierdzę nosi wręcz nazwę Miasta Słowian (madinat al Sakaliba) i została zajęta w r. 715 po Chr. przez Arabów. Gdy zaś Arabowie docierają do Hiszpanii, wkrótce na dworze królewskim Omajjadów w Kordobie spotykamy Słowian, służących w gwardii królewskiej, w formacji podobnej do innych oddziałów przybočných, np. Mameluków lub późniejszych janizarów. I w tym wypadku są to jeńcy wojenni, sprzedawani do Andaluzji. Z czasem zdobywają ci Słowianie wybitne stanowiska dworskie i wojskowe, królowie bowiem chętnie ich faworyzują, widząc w nich odpowiedni czynnik dla poskromienia wybujałych ambicji rodowitych Arabów. W oświeconym środowisku arabskiej Hiszpanii również Słowianie, poznający bractwo czynny udział w życiu literackim. Jeden z nich, Habib al Siklabi, uznał nawet za konieczne w specjalnej księdze opisać zasługi słowiańskich literatów. Karol Szajnocha poświęcił tym Słowianom rozprawę, wydaną w r. 1859. Wraz z upadkiem dynastii Omajjadów hiszpańskich (1031 po Chr.) tracą ci pretoriani na znaczeniu i zlewają się z resztą ludności. Oddziały słowiańskie istniały również na dworze Fatymydów egipskich. Historyk arabski al Makrizi (w. XIV/XV.) opisuje nam uroczysty wyjazd Kalifa, podczas którego słowiańscy sudyzi pełnią funkcje.

W literaturze pierwszą wzmiankę o Słowianach znajdujemy u poety arabskiego XII w. al Ahtala, (wyd. H. Salmani str. 18, 5): „(karawany) zmęczone stronią od ludzi (bojąc się ich), jak gdyby widziały w nich masę rudowłosych Słowian“. Rude — a może złocisto-płowe — włosy i jasna cera należą odłód do nieodstępnych cech w rysopisie Słowian, tak, że słowo saklab, oznaczające pierwotnie Słowianina, staje się w języku arabskim synonimem rudowłosego, a autorzy uważają za konieczne specjalnie podkreślić, jeśli stwierdzają jakiś wyjątek. Spotykamy

Ich kobiety, gdy zdarzy się wypadek śmierci, rania sobie ręce i twarz nożami. Następnie go dnia po spalaniu trupa zbierają popiół do urny, którą ustawiają na wzgórzu. W rocznicę śmierci biorą 20 dzbanów miodu, względnie mniej lub więcej, i udają się wraz z miodem na owe wzgórze. Zbiera się rodzina zmarłego, jedzą tam i piją, następnie wracają... Wszyscy oni są czcicielami ognia. Najwięcej uprawiają prosa. Podczas żniw biorą ziarną prosa do naczynia, podnoszą ku niebu i mówią: Panie, Ty który nas zaopatrzywałeś, dawaj go nam dalej obficie. Posiadają oni instrumenty, jak cytry, lutnie i fujarki... Sporządzają napój z miodu... Bardzo mało u nich bydia robocze, wierzchowce posiada tylko wspomniany mąż (przepisawca widocznie coś opuścił w tekście). Ich broń stanowią krótkie oszczepy, tarcze i dzidy — nie poza tym. Ich wódz nosi nazwę żupana, są mu posłuszni i podporządkowują się mu. Mieszka on w środku kraju Słowian. Ten zaś wspomniany, najbardziej znany wśród nich mąż, zwany Wodzem Wodźców, nazywa się Świętopelk. Jest on najmężniejszym do żupana, gdyż żupan jest jego zastępcą. Ten król posiada wierzchowce i żywi się kozyłim mlekiem. Posiada on piękne, mocne i drogie kolczugi. Miasto, w którym mieszka, nazywa się Gradista (stolica króla Morawii Świętopelka, zmarłego w r. 894 po Chr.). Co miesiąc odbywają się w nim trzydniowe targi... („Bibl. geograph. Arabicorum“, VII, 134-4).

3. Opowiadania al Masudiego

Słynny encyklopedysta X. w., al Masudi, zebrał już znacznie więcej wiadomości o Słowianach zachodnich. Nie ulega wątpliwości, że posługiwał się on opisami wcześniejszych autorów, które jednakowoż nie przechowały się do naszych czasów. W dziełach Masudiego pojawiają się następujące zupełnie ściśle nazwy szczepów słowiańskich: Dulaba, (Dulebowie) Bandżin (Czesi), Sarbin (Serbowie), Marawa (Morawianie), Charwatn (Chorwaci), oraz inne mniej pewne: Walhana (Polanie?), jak wiadomo w języku arabskim nie ma spółgłoski p. —), Astabaran (Słowianie - Słowianie), Chazanzin (Kaszubi?). Imiona królów i wodzów: Madżek (Mieszko - Mieszk?), Wandż-Sława (Wacław). Nazwy rzek: Dina (Dunaj), Morawa, nad których brzegami żyją Bandżin i Morawianie. Masudi kilkakrotnie wspomina, że w swych pracach historycznych szczegółowo opisał dzieje Słowian, niestety, dzieła te zaginęły. W innym miejscu swych „Złotych łąk“ opisuje Masudi święte chramy Słowian, wznoszące się na wysokich górach

ZDZISŁAW BRONCEL

Litania Loretańska do Najświętszej Marii Panny

(Dokończenie)

Módl się za krajem, gdzie równą gościłą
Podjejmowano biednych i aniołów,
Kędy się ciężką poczytuje winą
Płodnej gałęzi nie ulżyć mocołu,
W gniewie zabawę naruszyć dzieciną,
Nie mieć sieroty u pełnego stołu,
Wigilijnego zaniedbać podarku
Dla starej sługi — Królowo Patriarchów

Módl się za nami!

Za krajem, w którym nie przyjmą pieniędzy
Za chleb, podany w komorniczej chacie,
W którym był święty, co płaszc odlat nędzy,
Król, co się smucił, że też nie odplaci,
Gdzie ten jest bliźnim, koż los nie szczędził,
I ten najbliższy, kto ojczyznę stracił,
Kędy cienie łam stracących stołu
Krzyż miał ramiona... Królowo Proroków

Módl się za nami!

Za krzywym świątkiem i kapliczką z ciosu,
Za każdym miastem, wsią, lasem i polem,
Za krzakiem głogu i pagórkami wzniosu,
Zbożem, porosłym w warcholstwo kąkole —
Za ziemią biedy i ziemią eposu,
Nakrytą nieba pochurnym symbolem,
Spozycującą, jak płyta cokołu
Pod pomnik Twój — Królowo Apostołów

Módl się za nami!

Za ziemią, próbie poddaną kruszcowej,
W której się stempel lat na kruszcu kruszy,
W której się nowym Kraj wytipała słowem,
Aż miara słowa weźmie miarę duszy,
W której się waży insygnia ciemniowe
Po prezydentach zburzonych ratuszy
— O, przyjmująca w poczet zakładników,
Królowo sierot, wdów i Męczenników

Módl się za nami!

Królowo starców, zamkniętych drutami,
Truczonych kołbą w kruchość siwej skroni,
Królowo zmarłych co się święcą smaki,
Konszekrowani olejem agonii,
I tych, co kłęzą przed rewolwerami,
I tych, co żywi i jeszcze przytomni,
Sakrament ziemi biorą z rąk oprawców
— Królowa Między, Królowa Wyznawców

Módl się za nami!



NARGILE



BULWAR W ALEKSANDRII

Która się naszej schyliła koronie,
Gdy ją śmiertelny dla ciężaru złożył,
Która prowadziła, gdy chorągiew wionie,
Idąc nad nami jako płatek boży,
Która nam strzesza na świata bastionie
Miejscu, gdzie Bóg nas doświadcza najstrożej,
O, która krzyż nam dała apostołski
Do ręki — Królowo Korony Polskiej!

— Módl się za nami!

Błoto, rzucane w okna Belwederu,
Zgiełk bratobójczy w warszawskich alejach,
Krew robotników i krew szwoleżerów —
Bezrobotnego, który w święto nie jadł,
Godzinę pychy polskich Luciferów,
W zgryzanie rębów wtrącony ideał,
Chwilę zwątpienia po dwudziestu latach —
Baranku, który gładziś grzechy świata

— Przepuść nam Panie!

Usłysz wołanie z nad rzek Babilonu,
Spójrz na bijące z ciepłych ofiar dymy!
Iście dla obu wystarczy Zakonów
Krzyża i miecza, którym się modlimy.
Mamy spiż serca, daj nam spiż dzwonu,
Który masz Syna, kłienimy Cię na syny,
Pobite w piaskach, w śniegach, w kazamatach —
Baranku, który gładziś grzechy świata

— Wysłuchaj nas Panie!

Nad koczowniczym przez wszystkie pustynie,
Przez wieczne śniegi i przez lasy wieczne,
Przez stępy Syrdarii, przez lód na Kalmie,
Nad wpatrzonymi w północ Drogi Mlecznej,
W gorące jedno mówiczymi imię,
Wzlatującymi w niebo niebezpieczne,
Goręcymi jak krzak Izaaka —
Baranku, który gładziś grzechy świata

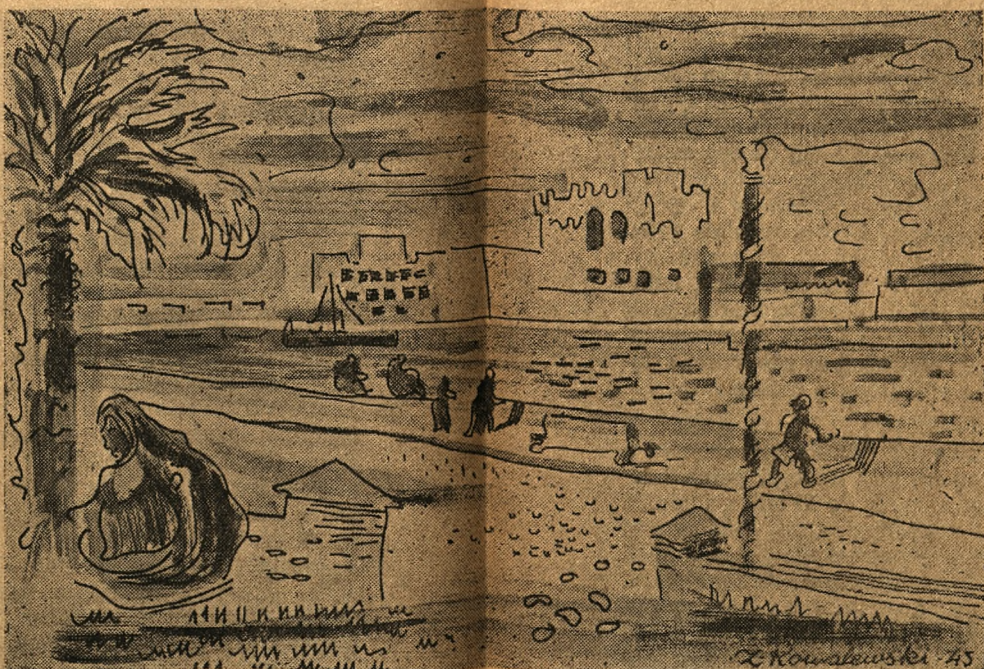
— Zmłuj się Panie!

Bogiem sławiona, o Bogurodzica,
O Bogumila — u Hospodyna
Matko zwolena, Maryja Dziewica,
Niech się nam ziści u Twojego Syna
Na bożym wiecu ostatnia stolica,
Niech się nam spłuci wyczysta gościna,
Oczy gardowe na kmieci niech wejrzą,
Kyrie elejson, Chryste elejson

— Kyrie elejson!

Amen.

Rysunki Zygmunta Kowalewskiego



W OGRODZIE

IRENA KEJLIN

ARCHITEKTURA PALESTYŃSKA

Czy istnieje styl architektoniczny, który możemy określić mianem **architektury palestyńskiej**? Styl architektoniczny nie rodzi się nigdy z dnia na dzień, nie można go świadomie stworzyć ani zaprojektować — zawsze wyrasta on z głębokich tradycji danego kraju. Zanim więc odpowiemy na to pytanie i przejdziemy do zanalizowania współczesnej architektury palestyńskiej, rozpatrzmy w skrócie, jakie tradycje budowlane zastał wiek XX w Palestynie. A wyjaśnić to nam może historia tego kraju.

I

Palestyna była kolejno zamieszkiwana, lub znajdowała się pod panowaniem różnych



Meczet Omara w Jerozolimie.

ludów obcych sobie pod względem języka, kultury i religii. Filistyni, Żydzi, Babilończycy, Grecy, Rzymianie, Arabowie, Krzyżowcy i Turcy — nie kontynuowali tradycji architektonicznych, jakie zastawali w chwili podboju Palestyny. Stwarzali nowe formy, w których czasem tylko znaleźć można słabe ślady wpływów form, a najczęściej tylko motywów dekoracyjnych, właściwych ich poprzednikom.

Nie zapominajmy poza tym, że Palestyna była w ciągu swej historii zawsze — prowincją. Prowincjonalne były małe państwa żydowskie, przez długie zaś wieki kraj był kolejno prowincją babilońską, grecką, perską, rzymską, arabską lub turecką. Nie miało to wpływu na rozwój i ukształtowanie myśli filozoficznej lub religijnej. Rzeczywiście nigdy na przestrzeni tak małej nie odgrywały się rzeczy tak doniosłe dla ludzkości, jak tu właśnie, na wąskim skrawku ziemi, leżącym na

Zabytki palestyńskie mogą być dla nas drogą. Z całego świata przyjeżdżają wierni, aby modlić się w kościele Grobu Chrystusowego lub przed Ścianą Płaczu. Inne są ciekawe pod względem historycznym, jak ruiny ostatniej twierdzy żydowskiej na Masadzie i ślady oblegającego ją obozu rzymskiego, twierdze krzyżowców lub mozaiki kościołów bizantyńskich. Ale nie jest to przypadek, że dwa jedynne pomniki architektoniczne, naprawdę godne tego miana, powstały w okresach dobrobytu i bliskości ośrodka kultury.

Jeden z nich to Świątynia Salomona, wybudowana w okresie rozkwitu i bezpieczeństwa państwa żydowskiego. Zburzona przez Nabuchodonozora, została odbudowana po powrocie z niewoli babilońskiej, pod silnym babilońskim wpływem. Została po niej t. zw. Ściana Płaczu ściana zachodnia świątyni — i opis w Biblii. Jest to jakby symbol całej historii narodu żydowskiego, że jedyny jego wielki pomnik architektoniczny przetrwał tylko w słowie i tradycji. — „Płomień rozgryzie malowane dzieje, skarby mieczowi spustoszą zrodzie — pieśń ujdzie cało...” I z tą swoją pieśnią, z Biblią, wyszedł naród żydowski z Palestyny po zburzeniu Drugiej Świątyni i na tym kończy się historia jego architektury.

W VII w., gdy również słowo — Koran — połączyło ludy pustyni arabskiej i nadało im jedyny w dziejach historii rozpęd i rozmach zdobywczy, Palestyna była przez krótki przeciąg czasu blisko ośrodka kultury arabskiej. I wtedy powstała druga i ostatnia już perła architektury w Palestynie — meczet Omara. I jako symbol ciągłości — nie tradycji architektonicznej — lecz religijnej, został on zbudowany na miejscu zburzonej Świątyni Jerozolimskiej. Lecz w miarę zdobywczy arabskich, ośrodki kultury Islamu przenosiły się do Afryki Północnej i Hiszpanii — na wschód aż do Indii, i tam powstały cuda architektury muzułmańskiej. Palestyna znów stała się zaniebana prowincją.

Rzym stawiał budynki administracyjne, pałace swych namiestników i sędziów. Bizancjum w swoim krótkim okresie wpływów postawiło parę kościołów; krzyżowcy budowali twierdze, mury obronne i kościoły. Lecz ponieważ było to budowane daleko od krajów macierzystych, napędce i małymi środkami, mało wzbogaciło palestyńską myśl architektoniczną.

A wreszcie nastąpił długi, nieprzerwany okres panowania tureckiego. Turcja miała szczególną zdolność rujnowania krajów, jej podległych. Sama zaś nie miała nigdy wielkiego rozmachu architektonicznego i dążyła świadomie lub nieświadomie wszelkimi wysiłkami twórcze ludów, znajdujących się pod jej panowaniem. W ciągu tych ostatnich paruset lat

tanie, odnoszące się zresztą i do innych przejawów kultury. O jaką architekturę nam chodzi? Arabską, żydowską, czy angielską?

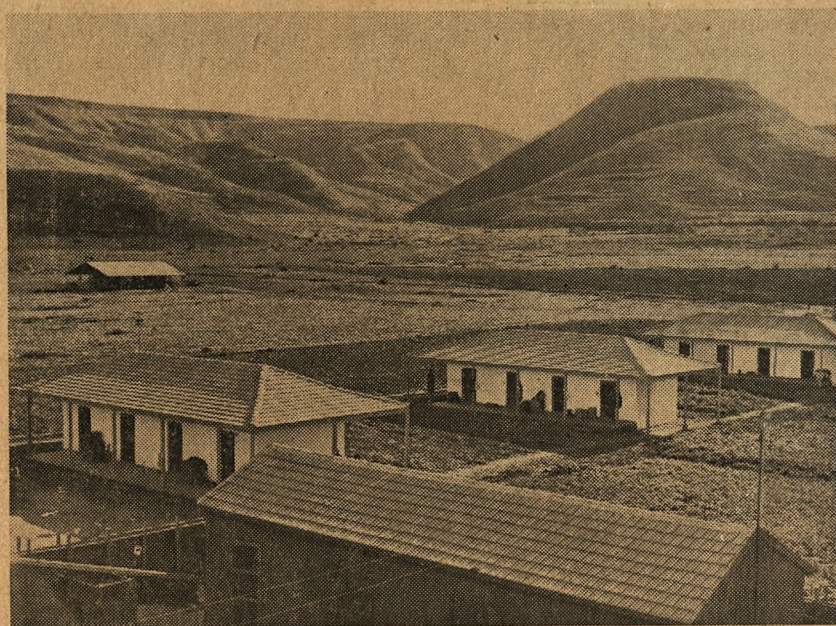
Anglicy wybudowali, jak ongiś Rzymianie, liczne gmachy administracyjne, poza tym banki, urządzenia portowe i wiele innych budynków użyteczności publicznej. Jest ich jednak za mało na to, aby nadawały charakter miastom, a poza tym niczem nie wyróżniają się miastom, a poza tym niczym nie wyróżniają się na tle ogólnego budownictwa miejskiego.

Arabowie budują niewiele, na ogół naśladowania ogólnego budownictwa miejskiego.

Arabowie budują niewiele, na ogół naśladowając wzory, importowane z Europy, czemu nie można się dziwić wobec inwazji kultury europejskiej, jaka nastąpiła wraz z przejściem władzy przez Anglików i osiedlaniem się Żydów. Żydzi rozwinięli olbrzymią działalność, rozbudowując, a niekiedy stwarzając nowe miasta i osiedla. Cała ta twórczość od jej zarania nie trwa jednak dłużej niż 25 lat, trudno jest więc spojrzeć na nią retrospektywnie i wyciągnąć już dzisiaj wnioski co do kierunku, w

rozporządzając pięknym budulcem — kamieniem, który nada im niesłychaną malowniczość bez względu na układ i proporcje poszczególnych domów. Osiedla żydowskie natomiast leżą przeważnie na równinie pasa nadbrzeżnego lub w szerokiej dolinie Emeku, co nasunęło jako najodpowiedniejszy budulec — żelbet i cegłę.

Widzimy więc, że architekci żydowscy musieli oprzeć się na wzorach europejskich, co przesądziła ich kultura i wykształcenie, sposób życia mieszkańców i rozporządzalny materiał budowlany. Jeden tylko czynnik jest tu całkowicie inny niż w Europie — i on to stopniowo skieruje typ budownictwa na inną tory: jest to klimat. Narazie w budownictwie miejskim Palestyny zignorowano ten problem. Buduje się cienkie ściany zewnętrzne, argumentując, że w Europie chroniono się grubymi murami tylko od zimna. Lecz ściany nagrzane za dnia, wydychają ciepło do wnętrza pokoi wieczorem. Olbrzymie otwory okienne, układ t. zw. leżący okna, (zostawiający u góry pokoju nagrzane powietrze na wysokość co najmniej metra, które nie ma którędy uciec



Domy mieszkalne w kibucu Ein Geb.

jakim się rozwinie. Fakt jednak, że już dzisiaj budownictwo żydowskie dominuje ilościowo i jakościowo nad innymi i że nadaje charakter głównym miastom w Palestynie, zmusza nas do dłuższego zastanowienia się nad nim.

Architektura więcej jeszcze niż inne sztuki plastyczne jest wykładnikiem całokształtu życia materialnego i kulturalnego danego społeczeństwa. Styl architektoniczny jest to wypadkowa najróżniejszych czynników, z których najważniejszymi są: tradycja architektoniczna, cel do jakiego dany budynek służy, warunki klimatyczne, w jakim wzrasta, i budulec, jakim rozporządza.

Architekci żydowscy narodowej tradycji budowlanej nie mają — są to mieszkańcy Europy i absolwenci europejskich uczelni. Architektura współczesna była w Europie prawie, że uniformistyczna, a istniejące drobne różnice o charakterze narodowym zatarty się tutaj pod naciskiem miejscowych, niwelujących je czynników. Architekci żydowscy nie mogli kontynuować tradycji architektonicznej arabskiej, którą zastali na miejscu. Sposób życia rodziny mahometanńskiej, — wydzielenie i oddzielenie od zewnątrz części kobiecego domu — tak kształtuje jego układ, że uniemożliwia zmodyfikowanie i przystosowanie go do potrzeb europejskich. Poza tym nie zapominajmy, że europejskie urządzenia higieniczne, tak niesłychanie ważne w tym klimacie, — są w domach arabskich prawie że nieznanne. Naturalnie nie mówimy tu o willach, lub nowych domach o wielopokojowych mieszkaniach. Ale jeśli obejrzymy mieszkanie dwupokojowe, lub domek jednorodzinny w żydowskim osiedlu o 2, lub 3 pokojach — z łazienką, W. C. i kuchnią, zaopatrzoną w zmywak, widzimy, że urządzenia higieniczne zajmują powierzchnię niewiele mniejszą od mieszkalnej i przesadzają o układzie planu. Odpowiednika tego typu mieszkań w budownictwie arabskim nie znajdziemy.

Z wyjątkiem dużych miast, wsie i miasteczka arabskie leżą przeważnie w górach,

z pomieszczenia) — są tu wielkim nieporozumieniem. Są to najnowsze zdobycze architektury europejskiej, powstałe w klimacie umiarkowanym Francji, a podjęte z entuzjazmem przez mglistą Holandię i mroczną Szwecję. Hasło architektów współczesnych: „Światła! Słońca!” nie jest na miejscu w kraju, gdzie wystarczy oświetlić pokój — przez dużą dziurkę od klucza. Przy rozwiązaniu tego problemu będzie się można częściowo oprzeć o wzory arabskie.

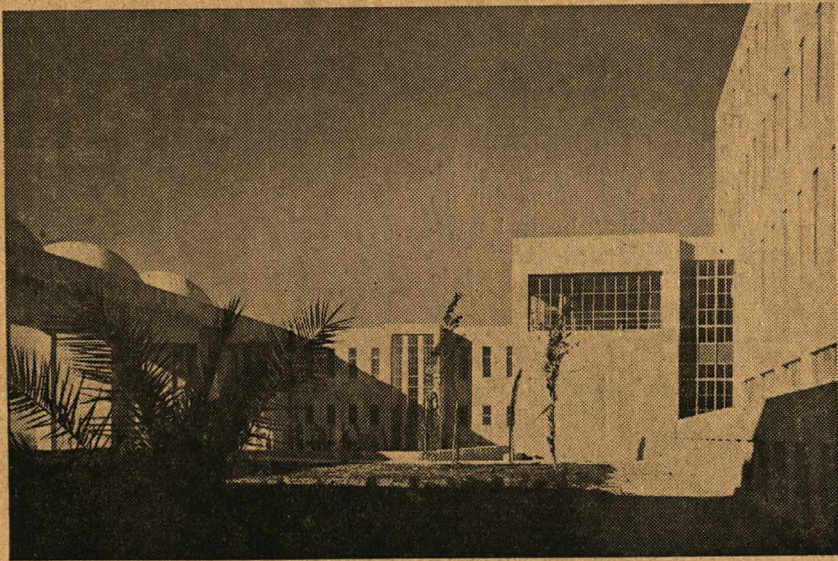
Różnice klimatu i budulca przejawiają się w ogólnym charakterze budownictwa większych miast palestyńskich:

Nadmorski Tel-Aviv oślepia białością swych tynkowanych domów, sprawiających z powodu cienkości ścian wrażenie tekturowych; charakterystyczne są wielkie, głębokie tarasy, na których spędza się większą część dnia i roku. Jedną z najrealniejszych zdobyczy jest podstępnie domów, dające głębokie, ocienione przegródki i wielką swobodę w rozplanowaniu. W Jerozolimie poważne kamienne fasady, do których budulec wydobywany jest na miejscu podczas kopania fundamentów, harmonizują z ogólnym poważnym nastrojem tego miasta.

Wszystko to odnosi się do budownictwa mieszkalnego. Jeszcze mniej można dziś powiedzieć o gmachach publicznych. Nie tylko nie było jeszcze czasu na stworzenie odrębnego typu, lecz poprostu nie miały one kiedy powstać, choć są już czynione próby, mniej lub więcej udane. Szpital Hadassa, budowany przez Ericha Mendelsona, parę nowych budynków uniwersyteckich, gmach Keren Kajemet, w Jerozolimie, dom robotniczy i liczne szkoły w Tel-Avivie, szpital Kasy Chorych w Petach-Tykwie, — są to zarodki przyszłej architektury w pełnym tego słowa znaczeniu.

Narazie jednak, rzeczywiście realnymi osiągnięciami może się poszczycić tylko osiedle i kibuc. Tam, gdzie znika wpływ przypadkowej parcelacji miejskiej, ewentualnych zysków przy sprzedaży domu i chwilowej mody, — architekci przy współpracy mieszkańców zdołali stale ulepszać typy budynków i wyciągać wnioski na przyszłość. Tam właśnie rodzi się architektura palestyńska. Dach spadkowy, kryty dachówką jako izolacja od słońca, ustawienie domów oknami w kierunku wiatru przy równoczesnym ocienianiu ścian podcieniami lub okapami, są to niewątpliwie zdobycze, osiągnięte w krótkim stosunkowo czasie.

A kiedy budownictwo będzie w zgodzie ze wszystkimi czynnikami, działającymi nań z zewnątrz i wewnątrz, gdy nastąpi pełna harmonia, przystosowanie się do klimatu, budulca i mieszkańców — wtedy, na tej racjonalnej podstawie, na tych prozaicznych przesłankach — może powstać Architektura. Architektura, czyli forma sztuki, dostarczająca nam wzruszeń artystycznych. Narazie jeszcze na to za wcześnie; ale tym niemniej ciekawe jest obserwowanie architektury palestyńskiej „in statu nascendi”.



Szpital Hadassa w Jerozolimie.

skraju pustyni. Zdawałoby się jakoby pustynia wycisnęła swe piętno na obliczu życia w tej części świata. Prorocy i święci albo z tej pustyni pochodzą, albo szukają tam samotności w celu obcowania z Jedynym Bogiem. Sztuki plastyczne jednak, a szczególnie architektura, wymagają dla pełni swego rozwoju dobrobytu, bezpieczeństwa i bliskości ośrodka kultury.

Współczesny turysta wiele znajduje w Palestynie zabytków, godnych widzenia. W przyszłości będzie ich jeszcze więcej, bo badania archeologiczne i prace nad wykopaliskami odkrywają coraz to nowe ślady dawnych kultur. Ale są to prawie wyłącznie pomniki o znaczeniu religijnym lub historycznym. Katedra Notre-Dame, świątynia w Luksorze, Partenon lub mauzoleum Tadz-Mahal są to najwyższe szczyty, jakie osiągnęła ludzkość w poszukiwaniu wyrazu architektonicznego dla swych wzruszeń. Oglądając Ahia Sofie, zapominamy, że była ona kiedyś świątynią chrześcijańską, a gdy jesteśmy w katedrze w Kordobie nie myślimy o tym, że była zbudowana jako meczet. Jesteśmy porwani jej pięknem i rytmem; w Erechcieonie — wdziękami i subtelnością, w kościele Św. Piotra — smiałością konstrukcji i rozmachem baroku. A to są właśnie wzruszenia, jakich nam architektura w swej czystej postaci dostarcza, niezależnie od znaczenia religijnego lub historycznego.

do wybuchu pierwszej wojny światowej, nie wybudowano w Palestynie nic godnego uwagi. I tylko w gruzy rozsypywały się pomniki minionych epok.

II

Gdy przejdziemy do współczesnej architektury w Palestynie, nasuwa się odrazu py-

„CZY NACIŚNIESZ GUZIK?”

Londyńska „Sunday Chronicle” z dn. 10 października drukuje odpowiedź na ankietę, zorganizowaną przez prof. Low. Pytanie brzmiało: „Jeśli zostanie wynaleziona nowa broń, którą można zażyć w Niemczech jutro wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci przez naciśnięcie guzika w Wielkiej Brytanii, czy naciśniesz guzik?”. Odpowiedziały setki czytelników. Jak dotychczas, bez wahania „tak” odpowiedziało 30%, „nie” — 35%, reszta dała odpowiedzi z omówieniami. Jeden z listów pochodzi od Polaka. Pisz on: „Naciśnięcie guzika z całą świadomością, że zapewniam pokój umoczonej ludzkości. Jestem Polakiem, jestem młody i cierpię po raz drugi w życiu. Sprawa nowej broni nie jest kwestią czysto akademicką. Ta broń już istnieje. Została ona ukuta przez samych Niem-

ców. Jest nią nienawiść ujarzmionych narodów”.

Pewien obywatel ze zbombardowanego Coventry pisze: „Odpowiedź moja, jest „nie”, oczywiście „nie”. Po dziś dzień wierzę, że w Niemczech istnieje silny czynnik dobra. Czynnik ten zwycięży. Należy dopomóc do tego, aby wzrastał on w sily”.

Obywatel z Birmingham pisze, że naciśnięcie guzika bez żadnych wahań. Będzie to nie tylko kara dla Niemców, ale również i ostrzeżenie na przyszłość dla wszystkich narodów świata.

Pewien londyńczyk daje zdecydowaną odpowiedź: „tak”. Będzie to uwolnienie świata od choroby i plagi, która tyle krwi i żyć kosztowała. Na gruzach Niemiec można będzie osiedlić obywateli innych, przeludnionych państw europejskich, i zaplanuje wtedy spokój.

ZDZISŁAW BRONCEL

O POLSKI TEATR DLA ŻOŁNIERZA

OD OBOZOWEGO OGNISKA DO SCENY DRAMATYCZNEJ

Kontrola opinii

Poza Ameryką gdzie pracuje zespół Cwojdzinińskiego, nie mamy stałych cywilnych teatrów. Cały ciężar zaspakajania potrzeb kulturalnych w dziedzinie teatru i utrzymania polskiej tradycji teatralnej spoczywa dziś na teatrze wojskowym. Teatr żołnierski musi grać — i gra — dla swych kolegów, dla uchodźców cywilnych, dla dzieci szkolnych, dla PSK, junacek i junaków, a ponadto, gdy tylko można, także i dla obcych, niosąc propagandę Polski i polskiej sztuki.

Będąc więc teatrem wojskowym, nie jest wyłączną własnością wojska. Jest odcinkiem pracy kulturalnej niejako wydzierzawionym wojsku, wskutek osobliwych warunków. W okresie pokojowym niewątpliwie dla wojska pracowałby teatr cywilny, lub przynajmniej zorganizowany na zasadach cywilnych. W czasie wojny, gdyby toczyła się ona w oparciu o teren państwa, nie zajęty przez nieprzyjaciela, niewątpliwie o rozrywkę dla żołnierza dbaliby cywilni ludzie teatru. Dziś, gdy sytuacja jest odwrotna, teatr, pozostając w rozporządzeniu władz wojskowych, jest jednak wskutek swej wyłączności i szerokiego zasięgu własnością moralną całej emigracji. Dlatego też powinien być przedmiotem zainteresowania i swobodnej krytyki całej opinii publicznej. To samo odnosi się i do innych dziedzin kulturalnych, powierzonych dziś armii: wychowania młodzieży, szkolnictwa, pracy oświatowej dla dorosłych, akcji wydawniczej i prasowej. Jeżeli w naszym położeniu wydaje się zrozumiałe i słuszne dobrowolne zrezygnowanie z dyskusji nad wieloma zagadnieniami z życia wojska, tym bardziej — właśnie ze względu na wyjątkowość położenia — jest potrzebna dyskusja nad rozległą i doniosłą dziedziną oświaty narodowej, kierowaną obecnie przezwrotnie przez czynniki wojskowe.

W zakresie teatru kilka zespołów aktorskich, związanych bądź z poszczególnymi formacjami, bądź skupionych do swobodnej dyspozycji kierownika pracy oświatowej w armii, jest równocześnie i szkołą dramatyczną, wychowującą przyszły narybek dla zniszczonej doszczętnie sceny, i agendą propagandy zarówno na wewnątrz, jak i na zewnątrz, i często jedyną rozrywką dla żołnierza na pustyni, i jedynym popularnym środkiem niesienia polskiego słowa, żywego, dźwięczącego całym swym pięknem, wśród ludzi, mających mowę ojczystą skażoną po długich latach wgnania. Dość chyba powodów, by wiele od teatru żołnierskiego wymagać i by zwracać uwagę na jego charakter.

Teatr i żołnierz

Zjawienie się teatrów, przeznaczonych dla żołnierza na froncie, wiąże się z pierwszą wojną światową i mitręgą walki pozycyjnej. Długotrwała wojna pozycyjna wytwarza stabilizację stanowisk na tyłach i, zasiedzenie się — ośrodków etapowych. Półki lotnictwo nie stało się bieżącym, smagającym z powietrza wszystkich i wszystko w najdalszych odległościach od frontu, życie etapów upodobiło się do życia garnizonowego. Wśród monotonii zajęć zjawiała się nuda, w ślad za nią chęć rozrywki i na koniec — gorące przyjęcie dla artystów. Przyjeżdżających w odwiedziny do żołnierzy. We Francji, za czasów Wielkiej Wojny, bardzo były modne wycieczki na front, prawdziwego frontu nie oglądające: ta i owa disease'a, pieśniarka czy tancerka zdobywała nim bohaterstwa i z tym większym sukcesem mogła później prezentować swe szczupłe toalety w paryskim kabarecie.

Prawdziwą „czołówkę teatralną“, żyjącą w ogniu walki, podsycającą wojenny zapał — stwarza dopiero rewolucja rosyjska. Majakowski schodzi do okopów pierwszej linii, by deklamować swe wiersze, urządza wieczory literackie dla żołnierzy, teatr czerwony staje się środkiem propagandy rewolucyjnej, przeżyje teatralne służy celom politycznym. „Agitka“, łącząca wieciora trybunę z prymitywną sceną, towarzyszy wszędzie partyzantowi rewolucji.

Ta improwizacja rewolucyjna jest genezą frontowej czołwki teatralnej. Ale już w samej Rosji jej charakter szybko ulega umianie — dziś w bezpośredniej bliskości frontu odbywają się zarówno koncerty poważnej muzyki, recitale fortepianowe, występy autorskie popularnych pisarzy sowieckich, jak wielkie przedstawienia operowe, baletowe i dramatyczne, z których ostatnią premierą było „Wesele Figara“. Zapewne Beaumarchais wkuł się w łaskę Czerwonej Armii słynną tyradą Figara z IV aktu, tym niemniej pozostaje faktem, że nawet kraj tak dbający o oddziaływanie propagandowe, skłonny był w oddziałach wojskowych zostawić tę funkcję politrukowi, teatr zaś oddać w możliwie swobodną służbę wartości kulturalnych.

Duch cywila

Przeciwieństwem rewolucyjnej genezy sowieckich czołówek, jest teatr dla żołnierzy w armii angielskiej. Prowadzony przez „ENSA“, instytucję związaną z wojskiem, mającą wojskową formę zewnętrzną, cywilną jednak w swej istocie i metodach pracy — wychodzi z innych założeń. Stara się dać żołnierzowi prze-

de wszystkim rozrywkę i odpoczynek. Nuta propagandowa odzywa się w części humorystycznej, w karykaturze Hitlera i Mussoliniego, w jowialnym żarcie na temat Churchilla i popularnych dowódców, nazywanych raczej po imieniu, niż pełnymi wojskowymi tytułami. Jest tam także piosenka o angielskich łąkach, o szkockich pagórkach i lasach, występ orkiestry kobziarzy, ale też i tego pragnie angielski żołnierz: utrzymywania związku z dalekim home'em. Brak natomiast zupełnie propagandy patriotycznej — wyczuwa się jej zbędność w armii kraju demokratycznego, w armii, powołanej do wojny decyzyjnej wszystkich obywateli.

Zasadnicze założenia angielskiej pracy oświatowej wśród żołnierzy wynikają z demokratycznych podstaw służby w armii angielskiej. W okresie między pierwszą a drugą wojną światową służba w armii angielskiej była ochotniczą i miała wiele cech wybrania sobie stanu żołnierskiego jako normalnego zawodu. Zamiana tej służby na powszechny obowiązek wojskowy, zamiana, dokonana decyzją demokratycznego parlamentu, w bezpośredniej bliskości niebezpieczeństwa, w określonym wypadku zagrożenia ojczyzny, była równoznaczna w swej treści moralnej z przekonaniem, iż ochotnicze zgłoszenie do wojska stało się obowiązkiem każdego uczciwego Anglika.

W związku z tą charakterystyczną genezą, armia brytyjska, jeszcze do dziś dnia ochotnicza, w pewnych formacjach dominialnych i kolonialnych, nie ma ducha koszarowego. Ostrość dyscypliny w czynnościach służbowych nie prowadzi do podnoszenia do godności obywatelskiego ideału życia w ramach „baczność“ — „spocznij“. Mundur nie jest uważany za środek, mający przemienić człowieka w automat. Człowiek pozostaje indywidualnością, osobą prywatną. Wojna jest dla niego, jako system życia, przykrym zajęciem, które trzeba wykonywać z zaciśniętymi zębami, i pośród które-

go trafia się tylko czasami jakaś interesująca przygoda.

Nie stanowi to jednak wystarczającego powodu, by zapomnieć, kim się jest w istocie. Klub, kantyna z wygodnymi fotelami i fortepianem, cykle koncertów, bogato zaopatrywane biblioteki, serie odczytów — wszystko obliczone jest na zachowanie w żołnierzu cywilnego człowieka, jako wartości potrzebnej krajowi dłużej niż człowiek — żołnierz, jako wartości, którą zresztą o wiele trudniej wytworzyć niż walory żołnierskie. Cnoty wojskowe powstają w sprzyjającej atmosferze emocjonalnej, cnoty cywilne wymagają długich nieefektywnych lat rozwijania świadomości obywatelskiej.

Być może, że trzeba być Anglią, by sobie na to pozwolić, być może, że i dla Anglii staje się to powodem niebezpieczeństwa, gdy w obywatelu znamię się właściwa proporcja „żołnierza“ i „cywila“, tym niemniej taki właśnie kierunek dominuje tam w wojskowej pracy oświatowej. Jest w tym jedna głęboka racja: im więcej świątliwych obywateli, tym szersze uświadomienie polityczne, im lepsze zrozumienie sytuacji politycznej państwa, tym żywsza i wcześniejsza reakcja na wszelką dla niego groźbę.

Teatr „Karpackiej“

Teatr wojskowy A. P. na Wschodzie łączy w sobie obydwa typy teatru dla żołnierza. W Rosji, na polach Buzułuku, na stepach Tazkent, tworzyły się zawiązki scen dywizyjnych, których spontaniczność powstania, improwizację pracy, można porównać z rewolucyjną „czołówką“, podtrzymującą na duchu wśród najcięższych warunków, w chwili krytycznej.

W Brygadzie Karpackiej, w warunkach zbliżonych do życia garnizonowego, teatr żołnierski powstawał może jeszcze bardziej samorzutnie, miał jednak obok siebie dwa ważne czynniki: wzór angielski i żywy nurt życia intelektualnego samej „Karpackiej“. Duży

„Nie ma powrotu do przeżytych form gospodarczych“

Wydawany w Kraju „Biuletyn Gospodarczy“ ogłosił niedawno pod tym tytułem artykuł, który przedrukujemy tutaj w całości. Dla informacji zaznaczamy, że „Biuletyn Gospodarczy“, nie jest wcale wydawnictwem socjalistycznym, lecz informacyjnym biuletem czynników miarodajnych w Kraju.

Zainteresowanie krajami anglo-saskimi było przed wojną bardzo u nas słabe. Nawet wśród stałych bywalców zagranicy mało który zbacał z utartych szlaków dla odwiedzenia bodaj bliskiego Londynu. Coż więc dziwnego, że wyobrażeniami swymi tkwiliśmym niemal do ostatnich lat ciągle jeszcze w epoce wiktoriańskiej z jej kolonialnym imperializmem, liberalizmem i złotą walutą. Dziś trudno jeszcze przewidzieć, jak się ułożą stosunki w Anglii powojennej, ale napewno łatwiej nam będzie je zrozumieć, jeśli uprzedzimy sobie wszystkie te przemiany, jakie zaczęły się krystalizować na krótko przed wybuchem wojny.

W ujęciu G.G. Allen'a, profesora ekonomii w Liverpoolu, tak mniej więcej przedstawiały by się one w bardzo pobieżnym streszczeniu.

Warunki życia od dłuższego już czasu sprzyjają koncentracji po stronie produkcji, co znów ze swej strony prowadzi do organizowania się świata pracy. Z biegiem czasu więc możliwości wolnej konkurencji ulegają ograniczeniu, zarówno po stronie produkcji, jak i podaży rąk roboczych. Niezależnie od tego błędy i niesprawiedliwości społeczne, popełnione w okresie nieczym nie skrepowanej konkurencji, wywołały zmianę w ustosunkowaniu się opinii publicznej do zadań państwa. Nacisk opinii w okresie depresji 1929 r. prowadził już nieuchronnie do interwencjonalizmu integralnego, skąd, według autora, nie ma powrotu do dawnych form życia — nieczym nie skrepowanej konkurencji — choćby tylko dlatego, że społeczne poczucie sprawiedliwości wzrosło od tamtych czasów na tyle, iż dziś byłby już nie do pomyślenia ustrój, nie gwarantujący opieki warstwom słabszym.

Nie możemy, mówi Allen, wrócić do tego błędnego okresu pośredniego, jaki nastąpił po upadku merkantylistów, a przed pojawieniem się planistów, okresu państwa, rozbitego na atomy ścierających się ze sobą interesów. Domaganie się wskrzeszenia tamtych stosunków dla uleczenia naszych trosk bieżących byłoby równoznaczne z ignorowaniem tych sił, które doprowadziły do upadku system dawny, a na jego gruzach dały początek nowemu życiu. Ewolucja, jaką przeżywał angielski industrializm, prowadzący do wyżej przytoczonych sformułowań, nie mogła oczywiście pozostać bez wpływu na inne gałęzie życia gospodarczego. Ewolucja ta znajduje swój wyraz w całym szeregu aktów ustawodawczych. Tak

więc w r. 1930 Wielka Brytania wydaje The Coal Mines Act; w r. 1931 porzuca parytet złota; w r. 1932 wprowadza cło ad valorem (33 1/3); przez wydanie The Agricultural Marketing Act wkracza zdecydowanie w dziedzinę produkcji rolniczej.

Nie możemy, niestety, wnikać tu głębiej w szczegóły przedwojennej organizacji rolnictwa angielskiego, bardzo zresztą ciekawej. Załować natomiast wypada, że nasze koła rolnicze interesowały się tak mało swego czasu organizacją produkcji i zbytu artykułów rolniczych w Wielkiej Brytanii. Tu niewątpliwie leży źródło wielu naszych niepowodzeń w zakresie eksportu produktów rolnych na rynek angielski w okresie przedwojennym, tu również błędne wyobrażenia co do intencji, ożywiających brytyjskie prawodawstwo i co do nastrojów samego społeczeństwa.

Dlatego wielkim anachronizmem wydaje się dziś powrót do „lesseferyzmu“, z którym pewien odłam naszego rolnictwa wiąże tak wielkie nadzieje przy układaniu planów na okres powojenny. Niewątpliwie i dziś pragnienie swobody każe szukać ekonomistom i politykom form, które przy możliwie daleko idącym nieskrepowaniu inicjatywy dawałyby maximum koordynacji życia gospodarczego. Trudno jest wszakże iść tak daleko, jak tego pragnęliby rolnicy, którzy mówią: zostawcie nam wolną rękę, a my już będziemy wiedzieli, co i jak produkować. Zapewne, nie brak u nas świątliwych kierowników, dobrze postawionych warsztatów, którzy w dzisiejszym labiryncie życia umieją znaleźć właściwą drogę. Na podaż rynkową jednak składa się masowa produkcja niezliczonej ilości wszelkiego typu warsztatów, a nie pojedynczych gospodarstw wzorowych. Jeśli produkcja przyjmie fałszywy kierunek i doprowadzi do kryzysu, będzie ona klęską dla wszystkich gospodarstw, dla wzorowych może nawet w jeszcze większym stopniu, niż dla przeciętnych.

Dlatego wydaje się rzeczą zrozumiałą i raczej godną pochwały, że umyślnie przewidując na całym świecie zastanawiając się już dziś, jak za pobiec przesileniu po wojnie, które zgodnie z teorią i doświadczeniem grozi nam nieuchronnie. Oczywiście przyjęcie zasady gospodarki planowej, czy i jak kto woli, kierowanej, wymagać będzie nie tylko „trudu mózgow“, ale i aparatu kontrolnego oraz wykonawczego. To niewątpliwie, pociąga za sobą koszt. Można, a nawet należy dążyć do ich ograniczenia, zgodnie z samym założeniem planowości. Nie możemy ich natomiast całkowicie unikać.

Jeśli za cel uznany egzystencję narodu, musimy w konsekwencji przyznać mu prawo do kontroli tych, na których spada obowiązek jego wyżywienia, odziania i dostarczenia nowych sił na miejsce ustępujących z areny życia.

procent inteligencji w Brygadzie, urodzaj na talenty artystyczne i dłuższe pobyty na tych samych miejscach, pozwalały pokusić się o widowiska, zbliżone do normalnego teatru. Szczególny przypadek zrzadził, że w Brygadzie spotkali się: malarz i inscenizator — Jarema (z teatru „Cricot“ w Krakowie), poeta i krytyk teatralny z Warszawy — St. Młodożeniec, popularny humorysta „Cyrulika“ — M. Hemar i młody aktor z teatrów sztyfmanowskich — W. Wojtecki. To połączenie dało teatr, który posiadał rozpiętość od żołnierskiej komedii dell' arte do poważnego repertuaru. Wystawiono „Ptaka“ Szaniawskiego — sukces przeszedł oczekiwania. W Egipcie grano napisaną zbiorowo komedię muzyczną „Ich ośmiu i ona jedna“, widowisko Młodożenicy i Jaremy „Lajkonik w piramidach“, jedną przeróbkę z współczesnego repertuaru francuskiego, po czym znaczne powodzenie zdobyły dwie rewie, napisane przez M. Hemara i T. Sowińskiego.

W okresie zajmowania przez Brygadę bardziej wysuniętych stanowisk pakowano harmonie i wypożyczone panny („pestek“ jeszcze nie było) na ciężarówkę i jechano w pustynny piasek, odwiedzając oddziały. Mimo tych wypadków, mimo próby wyjazdu do Tobruku, scena „Karpackiej“ miała raczej charakter teatru garnizonowego, związanego z tyłami frontu. W tej roli — utrzymywała odpowiednią linię repertuarową.

Sugestia rewii

W organizującej się armii polskiej w Rosji nie była potrzebna propaganda na rzecz wojska. Było zjawisko odwrotne — żołnierz, przez tyle lat pozbawiony wolności słowa, pragnął wypowiedzieć swą radość z powrotu do armii, swoją tęsknotę za tak dawno nie ogladaną ojczyzną, a wreszcie szukał pokrzepienia i zapomnienia wśród trudnych nadal warunków życia. Poszczególne oddziały budowały na stokach wzgórz własne amfiteatry teatralne, tworzyły się amatorskie zespoły i na t. zw. „ogniskach“ obozowych łączono patriotyczną pieśń z satyrą na codzienne życie w wojsku. Był to prawdziwy teatr żołnierski, z żołnierzem związany, z żołnierzem wyrastający — miał, być może, najmniej teatralnej formy, ale najwięcej szczerze treści. Nie posiadając aktorów, kierowników, tekstów — nie mógł sięgać po repertuar dramatyczny, radził więc sobie, jak umiał, był przeważnie dziełem świetliczarek, towarzyszył żołnierzowi wszędzie, gdzie było mu ciężko i smutno.

Gdy do armii polskiej napłynęli liczni aktorzy rewiowi, przeważnie z teatrów warszawskich, a następnie — pod okupacją sowiecką — lwowskich, w ośrodkach centralnych zjawili się pierwsze scenki rewiowe. „Ognisko“ obozowe podniesiono do godności rewii, ulegając sugestii głośniejszych przed wojną nazwisk (Krukowski, Lawiński), zastąpiono je kopią „Qui pro quo“ czy „Bandy“. Teatr stracił bezpośredni kontakt z żołnierzem — autorzy tekstów i aktorzy przeważnie byli poza służbą liniową — i szybko musiał się stać widowiskiem, płacącym trybut motywom patriotycznym, a poza tym czerpiącym ze starych, tradycyjnych pomysłów rewiowych.

Popełniono też drugą omyłkę. Zapomniało, że Krukowski bez Hemara nie jest Krukowskim, Lawiński bez Tuwima — Lawińskim i t. d. Szybko trafiono na próżnię repertuarową. W rezultacie zespół Ref-Rena, prowadzony zresztą z werwą i zreżymem, stał się widowiskiem na eksport, zyskiwał sukcesy w Persji, imponując rewią europejską, tak samo jak zrobił to później w Kairze; zespół zaś Krukowskiego, przyjeżdżający do Palestyny i pracując na terenie wojska, próbował się ratować patriotycznym banałem. Ale banał ten został jak najgorzej przyjęty przez starych wygów z Karpackiej, którzy oglądali już front, i to często nie jeden. Dołączył się rozdzźwięk między sposobem odczuwania spraw polskich, przywiezionym z Rosji, a reakcją karpaczyców, którzy nie przeżywali utraty polskiego sztandaru. Piosenka, wzruszająca pierwszych, była zbanalizowana dla drugich.

Na domiar złego rozwiazano dawną Czołówkę Karpacką, przydzielając jej najwybitniejszych członków do grupy filmowej. Miała ona realizować film z walk Brygady — filmu do dziś dnia, jak nie ma tak nie ma, teatr zaś dramatyczny przestał istnieć. Rewia eksploatawała skece i scenki, grane jeszcze w Rosji przed wstąpieniem do wojska, by zaś mniej więcej sprostać aktualności, oblewano wszystko sowiecie frazesem antynazistowskim. Widowiska tego typu miały powodzenie wśród cywilnej publiczności w Palestynie, nie trafiały zaś do żołnierzy. Teatr żołnierski przestał istnieć: znikła Czołówka Brygadowa, a zdolniejszych amatorów, występujących na ogniskach żołnierskich, przeniesiono do zespołów centralnych. W zamian za to nie stworzono teatru dla żołnierza, ale instytucję widowiskową, zabierającą w Palestynie na potrzeby Referatu Propagandy i Oświaty (według ówczesnej terminologii). Taki był punkt wyjścia panującego do niedawna stanu rzeczy, w którym prawdziwy teatr żołnierski należy do przeszłości, a do teatru dramatycznego wraca się z trudem po dwuletniej przerwie.

(Dokończenie nastąpi)

POSTSCRIPTUM Z PRASY OBCEJ

Jeden z numerów pisma Armi Polskiej przynosi p. Szułdrzyńskiego „List w sprawie pewnej „recenzji“ i uwagi Redakcji pisma, — jedno i drugie w odpowiedzi na moją recenzję z książki p. Szułdrzyńskiego, zamieszczonej w poprzednim numerze „W Drodze“. Zarówno list p. Szułdrzyńskiego, jak i uwagi redakcyjne, starają się obronić koncepcję książki, zarzucając mi „nieprzychylnie nastawienie“ i „belferski“ ton, wreszcie p. Szułdrzyński stara się wybronić cztery spośród wytkniętych mu przeze mnie błędów. Postaram się na zarzuty po krótko odpowiedzieć.

Redakcja pisma niesłusznie imputuje mi jakoby skrajnie negatywne stanowisko wobec historii. Wspomnienia przeszłości historycznej odgrywają olbrzymią rolę w kształtowaniu się świadomości narodowej, potrafią w życiu narodu być wielkim katalizatorem uczuć, publicystyka polityczna zawsze nawiązywała i prawdopodobnie będzie nawiązywała do analogii historycznych, przy tym wszystkim jednak w żaden sposób nie mogą uznać za dobrą szkołę myślenia politycznego budowania programów politycznych w oparciu wyłącznie o pewne wyrwane fakty z przeszłości a w zupełnym oderwaniu od analizy współczesnej sytuacji. Zdaje mi się, że dosyć wyraźnie uzasadniłem to swoje stanowisko w recenzji. Nie ma to nie wspólnego z żadnym materializmem (w Rosji bardzo intensywnie mobilizuje się dziś historię dla potrzeb obecnej wojny), ale jest elementarnym wymaganiami tego realizmu, bez którego łatwo wpasć w nieodpowiedzialne frazesy typu np. „Polski w świetle psychiki własnej i obcej“ J. K. Kochanowskiego.

Nie przekonała mnie obrona błędów p. Szułdrzyńskiego. W recenzji swojej wytknąłem autorowi błędne twierdzenie, jakoby wyprawa Chrobrego na Kijów miała ostrze antyniemieckie. P. Szułdrzyński w odpowiedzi na to przytacza mi jako źródło ustęp z popularnej, mającej zaznaczyć czytelnika obcego z elementarnymi faktami historii Polski książki angielskiej prof. Haleckiego, omawiającej całokształt polityki Chrobrego wobec Niemiec. Ustęp ten w niczym jednak nie może zmienić faktu, że wyprawa kijowska Chrobrego była powzięta w porozumieniu z cesarzem Henrykiem II, który w traktacie budzijszym zobowiązał się dostarczyć Chrobremu 600 rycerzy Cesarstwa Rzymskiego. Szczegółowy może czytelnik znaleźć w — dostępnej w Jerozolimie — źródłowej monografii o Chrobrym Zakrzewskiego.

P. Szułdrzyński upiera się przy swej ocenie politycznej doniosłości Grunwaldu. Nieścisły, fakty temu przeczą. Zawarty w rok po Grunwaldzie traktat toruński tyle tylko zmienił w stosunkach Polski z Zakonem, że przyznał Litwie Żmudź, a Polsce Ziemię Dobrzyńską. W trzy lata potem wybuchła nowa wojna z Zakonem. Dopiero za Kazimierza Jagiellończyka traktat toruński, zawarty w r. 1466 po trzydziestoletniej, uporczywej wojnie, radykalnie zmienił układ sił Polski i Zakonu, przyznając Polsce Pomorze, Ziemię Chełmińską i Michałowską, Warmię, Malbork, Elbląg Szturm, i sprowadzając mocno terytorialnie okrojony Zakon do roli hołdownika Polski. Ale o tej właśnie wojnie pisze p. Szułdrzyński w swoim „Liście“, że miała charakter tylko „lokalno-graniczny“. Pomieszał on tu charakterystykę operacji militarnych z oceną doniosłości politycznej wojen.

Podobnie żaden Kolankowski nie pomógł autorowi, iż mimo dwóch zwycięstw pod Orszą Moskwa w r. 1513 zagarnęła Smoleńsk i przy posiadaniu tego Smoleńska się utrzymała.

P. Szułdrzyński drukuje następnie dłuższy wywód, poświęcony traktatowi karłowickiemu, którego ostatecznym wnioskiem jest, iż traktat ten „stworzył warunki rozwoju decydujących wpływów austriacko-rosyjskich“ nad Dunajem. Przeciwno takiemu ujęciu nie można mieć zastrzeżeń (poza tym formalnym, że trzeba mówić o wpływach rosyjskich i austriackich, nie „rosyjsko-austriackich“), ale też brzmi przecież ono całkiem różnie od tego, które ja zaatakowałem, a które głosiło, że „w traktacie karłowickim (1699) spuścizną po Turcji nad Dunajem podzieliła się Austria i Rosja“.

Innych, wytkniętych przeze mnie błędów historycznych p. Szułdrzyński nie broni, odwołuje się tylko ogólnikowo do swoich „poważnych źródeł“, Lorda czy Bystronia. Same jednak poważne źródła nie zatwierdzają sprawy. Trzeba jeszcze umieć z nich czerpać. W książce p. Szułdrzyńskiego czytam np. o ogłoszonych w r. 1785 „Uwagach nad życiem Jana Zamojskiego“ Staszycy, że „Staszyc nie ule-

gał ślepo wzorom czy hasłom francuskiej rewolucji“ (str. 32) i nie mogą się nadziwić, jak Staszyc mógłby w książce, wydanej w r. 1785, ulegać hasłom rewolucji, która wybuchła w r. 1789. Otóż zdanie to jest parafrazą poważnego źródła, bo „Dziejów Polski“ Bobrzyńskiego. Tylko że Bobrzyński pisał: „umiał jednakże Staszyc uchronić się od ślepego naśladownictwa reformistów francuskich“ (t. II, str. 266), a to jednak co innego.

Sądzę, że już same błędy książki usprawiedliwiająby ostry ton recenzji. Idzie tu o odpowiedzialność autora wobec czytelnika za rzetelność wiadomości, jakie mu się podaje. Przecież w obecnych warunkach książka p. Szułdrzyńskiego będzie dla wielu czytelników jedynym źródłem czy nauki historii Polski, czy też odświeżeniem wiadomości historycznych. I przecież większości wytkniętych przeze mnie błędów mógłby autor uniknąć, przesiadawszy jedno przedpołudnie w bibliotece nad sprawdzeniem szczegółów.

Oburzyło mnie wreszcie to, co p. Szułdrzyński mówi o „nowych formach ustrojowych“ w Hiszpanii gen. Franco, które jakoby Hiszpanii tej nie przeszkadzały utrzymać bliskich stosunków z Anglią i ze Stanami Zjednoczonymi. Ustęp ten wraz z pisaniem w ironicznych cudzysłowach o „wielkich demokracjach Zachodu“ oraz z przytaczaniem żalów na „sejmowładztwo“ (moją cudzysłów) sprzed roku 1926, z zalecaniem demokracji, ale nie „związanej z sztywnymi doktrynami politycznymi“, lecz elastycznej i przytaczaniem jako jej ideału Konstytucji Kwietniowej (Konstytucja ta nas obowiązuje, bo jest dla nas na emigracji gwarancją ciągłości życia państwowego, ale to jeszcze nie powód, żeby nie wolno było jej krytykować) — wszystko to ma swoją bardzo wyraźną wymowę.

Czytelnik miałby prawo się tu spytać, poco p. Szułdrzyński te swoje zwierzenia polityczne umieszcza w książce, poświęconej idei federacji. Co mają one wspólnego z federacją?

I odpowiedzieć na to można by tyle tylko, że ideologia taka nie tylko że nie ma nic wspólnego z ideą federacji, ale jest z nią w swoich podstawowych założeniach zasadniczo sprzeczna.

Idea federacji jest nie to pomysłu bez demokracji parlamentarnej („sejmowładztwa“). Raz dlatego, że jest ona rozszerzeniem zasad demokracji na stosunki między narodami, po drugie zaś dlatego, że tylko te gwarancje wolności osobistej i narodowościowej, jakie demokracja parlamentarna wypracowała, mogą rozprościć obawy ludzi różnych narodowości przed uciskiem narodowym i samowolą innojęzycznej administracji. W rządzonej na zasadach demokracji parlamentarnej Belgii wespół z pokojowo ze sobą Flamandowie i Wallonowie, w przeźartej „sejmowładztwem“ Finlandii — Finowie i Szwedzi, w kanadyjskiej „demokracji Zachodu“ wespół z obywatelami pochodzenia francuskiego i angielskiego, w Unii Południowo — Afrykańskiej osadnicy holenderscy mogą pielęgnować swoją kulturę na równi z angielskimi. Nikt zaś nie potrafi mi wskazać przykładu państwa, rządzonego na zasadach autorytarystycznych („szukającego nowych form ustrojowych“), w którym jedna narodowość, panująca, nie uciskałaby innych. Faszystowskie Włochy wynaradawiały Słowenów, w trzech czwartych faszystowska Rumunia uciskała w Siedmiogrodzie Węgrów, kemalowska Turcja zadziwiała świat rzezią Ormian i wygnaniem Greków. Szczególnie zaś odstraszały przykład brutalnego nacjonalizmu, dławiącego inne narodowości, przedstawia Hiszpania generała Franco. W morzu krwi utopiła ona ruch wyzwoleńczy Basków, którzy chcieli się modlić, uczyć i kochać w swym ojczystym języku. Równie brutalnie stłumiła ona ruch kataloński. Istnieje naprawdę jedno państwo, oparte na zasadach autorytarystycznych, które reklamuje się, iż potrafiło rozwiązać problem pokojowego współżycia różnych narodowości. Wątpię jednak, aby dla kogokolwiek z nas przykład tego państwa był pociągający.

Muszę się wreszcie energicznie zastrzec przeciwko sugestii, jakoby zwalczał książkę p. Szułdrzyńskiego dlatego, że jestem przeciwnikiem idei federacji. Pisałem przecież wyraźnie: „zagadnienie federacji jest dziś dla nas zagadnieniem kluczowym — tylko federacja potrafi nas obronić przed imperializmem naszych sąsiadów“. W recenzji swej zwalczałem zaś książkę o federacji, nie zaś ideę federacji, w której widzę prawdziwe wyjście, mogące nam zagwarantować jawdy, nie fikcyjną niepodległość.

Wiktor Weintraub

Kto przyjdzie po Hitlerze?

Wydawany w New Delhi tygodnik „Weekly Commentary“ ogłasza w numerze z dn. 7 października b. r. artykuł Douglasa Reeda p. t. „Kto przyjdzie po Hitlerze?“. Reelowi przyniosły w ostatnich latach dużo rozgłosu książki, w których wyspecjalizował się w przepowiedniach politycznych. Jest on też autorem bardzo interesującego dramatu o upadku Hitlera p. t. „The Downfall“.

Reed jest zdania, że zbyt mało myśli się teraz o tym, co przyjdzie po wojnie, mimo że koniec jej może być już bardzo niedaleki: „Czy nasi przedstawiciele byli zaskoczeni szybkością wydarzeń we Włoszech? Sześciomiesięczne wytchnienie, udzielone Włochom, nasuwa myśl, że być może byli. Wypada więc nam być przygotowanym na to, co się może wydarzyć w Niemczech.“

Jedną tylko okoliczność odwieka tam teraz wielkie zmiany. Gdy tylko dokonana zostanie inwazja na kontynent europejski (Włochy są najmniej ważną; zdaniem Niemców, prawdziwym celem jest wybrzeże francuskie, znajdujące się naprzeciw naszych brzegów), Niemcy będą musieli się zdecydować, czy mają wycofać wielkie siły z frontu rosyjskiego, gdzie z najwyższym wysiłkiem starają się zatrzymać wroga, czy też odstąpić przed nim.

O ile znam ich, powiedzą: „Za wszelką cenę Amerykanie i Anglicy muszą dojść do Berlina przed Rosjanami“ i Hitler zostanie usunięty. Myślę, że będą się starali ocalić mu życie i usunąć go spod zasięgu naszych rak, oświadczać, że umarli, albo że znikli. Byłbym zdziwiony, gdyby popełnił samobójstwo, jak to często i on, i inni zapowiadają.“

Kto przyjdzie po Hitlerze? „Niemieccy generałowie, bankierzy, magnaci przemysłowi i właściciele ziemscy zwrócą się prawdopodobnie do generała, nie skompromitowanego klęską wojenną. Chytrze założą, że świat, który nie zgorszył się zbytby osobą księcia Addisa Abebe, z łatwością przełknie feldmarszałka, zdymisjonowanego przez Hitlera. Jest takich dwu: v. Blomberg, który został odsunięty jeszcze przed wojną, i v. Brauchitsch (Goering, jak sądzi, będzie trzymany w rezerwie dla odegrania roli Bismarcka czy Hindenburga w kilka lat po wojnie). Bardzo też być może — pisze Reed — że związane z tym będą próby restauracji monarchii.“

Człowiekiem, który mógłby być wysunięty jako następca Hitlera, jest też dr. Hjalmar Schacht. „Czyż świat mógłby się oprzeć człowiekowi, którego ojciec urodził się jako Duńczyk, po wojnie 1864 r. uciekł do Ameryki, aby uniknąć obywatelstwa pruskiego, zdobył obywatelstwo amerykańskie i dał swemu synowi drugie imię chrzestne „Horace Greeley“ na pamiątkę po dobrym amerykańskim demokracie?“. Należy też pamiętać, że Schacht został wysunięty w r. 1923 na stanowisko dyrektora Reichsbanku przez partie lewicowe.

Schacht — tłumaczy dalej Reed — może być jednak bardzo niebezpieczny. Jest to człowiek o niepomamowanych ambicjach i „jest bardziej śliński od namydlonego węgorka. Jest to także człowiek gorąco przekonany o potrzebie dla Niemiec Lebensraum, kolonii i t. d.“

Przewrót może wysunąć także i innych ludzi, np. hr. Schwerin — Krosigka, obecnie dyktando ministra finansów w gabinecie Hitlera, albo Otto von Meissnera: „Prawda, i on także jest jednym z ministrów Hitlera, jest to jednak raczej rezultat tego zbiegu okoliczności, że Hitler pojawił się za życia Meissnera, niż wyboru Hitlera. Albowiem Meissner trwa wciennie. Był on jednym z urzędników Kaisera; był prawą ręką socjalistycznego prezydenta Eberta, był sekretarzem stanu Hindenburga, jest ministrem Hitlera, będzie tym czy innym jutro, albowiem nie można sobie wyobrazić przyszłości Niemiec bez Meissnera.“

Ostatnim wreszcie człowiekiem, w którym Reed widzi prawdopodobnego następcę po Hitlerze, jest v. Papen.

Skoro jesteśmy już przy Reecie, warto przypomnieć, że świeżo wydał on książkę p. t. „Obyśmy nie pożałowali“ („Lest We Regret“), w którym zajmując się m. in. głośnym artykułem „Timesa“ z 10 marca b. r., poświęconym zachodnim granicom ZSRR. Reed ostrzega przed niedocenianiem znaczenia tego artykułu. Stwierdza on, że „Times“ domagał się dla Rosji identyczności tego samego, czego Hitler domagał się dla Niemiec od Austrii i Czechosłowacji. Ani Polska nie zagroziła Rosji, ani Czechy i Austria nie zagroziły Niemcom. Rządowi Polskiemu oficjalnie oświadczone, że artykuł w „Timesie“ nie jest wyrazem polityki Rządu Brytyjskiego. Reed przypomina, że w okresie, gdy był korespondentem „Timesa“ w Europie Środkowej, „Times“ ogłosił (dn. 29 października 1937 r.) artykuł, w którym sugerował, iż przyszłość Austrii tkwi w unii z Niemcami. Równocześnie kanclerz Austrii otrzymał zapewnienie od Rządu Brytyjskiego, że Wielka Brytania nie pozwoli na żadne zmiany status quo w Europie Środkowej. Jednak 11 marca 1938 r. Hitler wkroczył do Austrii. W dniu 7 września 1938 r. „Times“ zaproponował odstąpienie Niemcom „pogranicznych terenów mniejszościowych Czechosłowacji“. Rząd Brytyjski ogłosił potem oficjalnie oświadczenie, że „sugestie, zawarte we wstępnym artykule „Timesa“, ...bynajmniej nie są wyrazem poglądów Rządu Brytyjskiego“. Dnia 18 września 1938 r. Chamberlain postawił rządowi czeskiemu ultimatum.

Francja jutra

Jak będzie wyglądała Francja po wojnie? Na pytanie to stara się odpowiedzieć Ferdinand Touhy w numerze z dn. 28 sierpnia b. r. londyńskiego tygodnika „The Sphere“.

(Co się przede wszystkim narzuca uwagę obserwatorów, to straszliwe zniszczenia, jakie wojna obecna przyniosła francuskiemu życiu gospodarczemu. Działania wojenne już bardzo wiele we Francji zniszczyły, te zaś które przyjdą, mogą to dzieło zniszczenia jeszcze znacznie powiększyć. Zniszczeniami tymi objęty jest przede wszystkim przemysł francuski, ale w nie najmniejszej mierze dotknęły one także i francuskie rolnictwo. Poza tym Niemcy obrabowali Francję ze wszyst-

kiego, z czego tylko obrabować ją było można. W szczególnie rozpaczliwym stanie, gorszym niż innych państw okupowanych, pozostawia francuskie finanse.

Najbardziej prawdopodobnie po wojnie przyjdą zmiany w ustroju politycznym nowej, Czwartej Republiki. Zmieni się też układ sił politycznych: „Wiara katolicka nie nie straciła we Francji w ciągu tej wojny, przeciwnie, — zyskała. Ale i komunizm zyskał także. Tak dalece, iż wydaje się, że katolicyzm i komunizm to najpoważniejsze siły Francji jutra. Dwie siły sprzeczne. Czy jest to zły omen dla nowego reżimu? Na pierwszy rzut oka — tak. Ale jeśli przyjrzymy się bliżej, dostrzeżemy pewną okoliczność, specjalnie właściwą Francji. Polega ona na tym, że francuski intelektualista katolicki cieszy się szacunkiem intelektualisty niewierzącego i ma z nim wspólny język.“

Istnieją też we Francji wcale mocne tendencje po temu, aby oprzeć powojenną politykę zagraniczną na sojuszu z ZSRR. Od Wielkiej Brytanii w znacznej mierze zależy, — zdaniem autora, — czy i w jakiej mierze tendencje te zapanują we Francji po wojnie: „Stopień zapału, włożony w ten związek, zależy w niemałym stopniu od naszej postawy wobec przyszłej Francji, teraz nie mniej jak i w przyszłości. Jeśli Francuzi będą mieli wrazenie, że znajdują się pod kuratelą, albo że są traktowani jako mocarstwo drugiej klasy, ich tendencja do zrobienia z Rosji przyjaciela nr. 1 dozna wzmocnienia.“ Jest rzeczą jasną, że przybliży się moment dziejowy, kiedy sprawy Anglii i Francji zostaną zadecydowane na wiele dziesięcioleci. Moment, przedstawiający ogromne możliwości... Wiele ludzi myśli, iż Francja wypadła z gry. Ale inni, którzy wiedzą, jak szybko Francuzi potrafili przyjąć do siebie, obawiają się, że to my możemy być stracni w tej rozgrywce. Amerykanie, będąc daleko, mogą sobie pozwolić na kaprysy wobec Francuzów. Ale my nie chcemy dostać w spadku czterystu mil nieprzyjaznej Francji tuż naprzeciwko naszych brzegów.“

Włochy po upadku faszystów

(Na temat „Demokratycznych Włoch jutra“ Carlo Sforza ogłosił artykuł w październikowym zeszycie miesięcznika „Free World“.

„Dzisiaj, kiedy faszizm jest już tylko gnijącym trupem, najlepszą zapowiedzią przyszłości wolnych Włoch jest fakt, że wszystkie klasy — arystokracja, burżuazja i chłop, intelektualisci i robotnicy — wszyscy tak samo dali wyraz swej radości, że znikła hanieba samojak Mussoliniego.“

Wielcy potentaci przemysłowi — z wyjątkiem dwu albo trzech godnych szacunku nazwisk — zachowali się tak haniebnie w swoich skurpomowanych stosunkach z faszystami, że w wolnych Włoszech jutra nie będą oni mieli żadnego znaczenia. Włochy widzą w nich nie tylko grupę ludzi, którzy uprawiali korupcję, ale — co gorzej — którzy uprawiali głupią korupcję. Z drugiej zaś strony długotrwała awantura faszystowska odkryła czterdziestu pięciu milionom Włochów — i to nawet tym, do których przyklejono etykietę bezkompromisowych „konserwatystów“ — że najwęższymi skarbami jest jedno i tylko jedno: wolność.“

Najważniejszą sprawą, jaką Włochy powojenne będą miały do rozwiązania, jest sprawa chłopstwa. Chłop włoski — zwłaszcza chłop Włoch centralnych i południowych — jest ciągle jeszcze nędzarzem. Risorgimento — inaczej niż rewolucja francuska — nie stało się zwrotnym punktem w jego życiu: „Dlatego jednym z najistotniejszych problemów, jakie staną przed wolnymi Włochami, będzie sprawienie, aby chłop poczuł, że państwo nie jest już maszyną w służbie wyłącznie obywateli z białymi kołnierzykami, bez względu na to, czy są to konserwatyści, liberalowie, czy socjaliści... Problem chłopski jest głównym moralnym i ekonomicznym problemem Włoch, a już co najmniej Włoch południowych i wysp. Ale ci, którzy myślą, że rozwiążą go, idąc za przykładem rosyjskim, nigdy nie osiągną powodzenia. I chłop nie będzie wierzył ludziom, którzy marzą, że kilka linii przepisów prawnych wystarczy, aby obalić wielką własność. Chłopi uwierzą tylko tym, którzy wytłumaczą im, że problem jest skomplikowany, że idzie tu o gigantyczne przemiany, dokonane na ziemi włoskiej — o autentyczne przemiany, a nie komedie, podobną do tej, jaką Mussolini wystawił na bagnach pontyjskich, aby okpić amerykańskich turystów (którzy dawali się okpić tym chętniej, że „cud“ został dokonany przez „dyktatora“). Chłopi nasi uwierzą tylko tym, którzy wytłumaczą im, że reforma rolna jest najbardziej palącym i świętym obowiązkiem, jaki stoi przed Włochami, być może także i jednym z najtrudniejszych i najbardziej skomplikowanych, gdyż jest on prawdopodobnie związany z serią gigantycznych prac hydro-elektrycznych.“

Jeśli idzie o resztę, to wszystkie te problemy schodzą na drugi plan — włączając w to problem włoskich instytucji politycznych. Losy monarchii wzbudzą dużo więcej zainteresowania poza Włochami niż wśród Włochów. Ostatecznie historia, naszego średniowiecza i naszego renesansu — który jest dla nas poprostu dnem wczorajszym — powinny powiedzieć światu, tak jak mówią nam, że sztuka, kultura, duch indywidualizmu, a nawet i heroiczne przygody, takie jak Czwarta Krucjata, były bogatszymi i bardziej częstymi aspektami naszego codziennego życia w czasach poprzedzających ten okres, kiedy Włochy dostali się pod panowanie królów i książąt.“

W oczach Zachodu

Lewicowy i zasadniczo prosowiecki „The New Statesman“ przynosi w numerze z dn. 25 września recenzję z szeregu nowych powieści pióra Philipa Toynbee, Zamyka je omówienie „Tęczy“ Wasilewskiej, która niedawno ukazała się w przekładzie angielskim u Hutchinsona. Przytaczamy je tu w całości:

„Tęcza“ jest relacją o wsi ukraińskiej pod okupacją niemiecką, która poza granicami ZSRR może zdobyć szerszą publiczność niż „Biała Księga“ Mojłowa, poświęcona niemieckim okrucieństwom. W tej dziedzinie rola jej może być cenna, jakkolwiek ma ona mało co wspólnego z twórczością powieściową.“

Paczki do Rosji

i innych krajów alianckich, oraz poszukiwanie adresów.

SZWAJCARSKI DOM WYSŁYKOWY

Tel-Aviv
ul. Hess 1.

Haifa
Hechaluc 59.

Jerozolima
ul. Ben Jehuda 2.

Rechowot
Keibel — Księgarnia nap.
Anglo-Palestyńskiego Banku.

„EGO“

MASZYNY BIUROWE

Reparacje — Wszelkie artykuły biurowe —
Pieczętki — Polskie czołki do maszyn do pisania

WYPOSAŻENIE BIUROWE BRAUN & SON
TEL-AVIV, ul. Herzla 13 Tel. 2623

WIECZNE PIORA



NOŻYCAMI PRZES PRASĘ NIEMIECKĄ

NALOTY

„No tak, teraz chodźcie za mną...”

„Na płaskim dachu wielkiego domu towarowego w jednym z miast zachodnich Niemiec w czasie brytyjskiego nalotu terrorystycznego pracują czterej SA-mani, usiłując przy pomocy ręcznej pompy zapobiec przerzuceniu się ognia z sąsiedniego budynku. Jeden trzyma wylot węża, reszta pracuje na zmianę... Nagle straszny huk — podmuch przewraca ludzi, pracujących na dachu. Po krótkiej chwili odzywa się jeden z nich: „Tam! — szybko! To była mina!” Pierwsi są na miejscu katastrofy — trzy domy leżą w gruzach, sąsiednie budynki ciężko uszkodzone...”

To był ciężki argument: ważył chyba około 2000 kg. Ostrożnie, pieczołowicie wieszono go na zgrabnym wózku, krążącym po lotnisku gdzieś w Anglii. Starannie przytwierdzono go we właściwym miejscu do latającej fortecy — co najwyżej dwa takie argumenty zabiera bombowier brytyjski, wyruszając w podróż wojskowo-pedagogiczną do Niemiec. Ale to nie jest mało: skutkuje.

Świadczy o tym wyżej przytoczony wyjętek ze sprawozdania, zamieszczonego w „Hamburger Fremdenblatt” z 3 czerwca b. r.:

„Z narażeniem życia odgrzebuje się zasypanych gruzami, udziela się pierwszej pomocy ranym. Zanim zdolała przybyć na miejsce policja, straż ogniowa i służba bezpieczeństwa, wydobyto już z rumowisk 15 osób... Po nalocie długo jeszcze trwa służba SA-manów. Partia powołała ich do przewodzenia ludziom, którzy teraz stoją na ulicach bezdomni i bezbronni. Słychać tysiące pytań i głosów obaw, na które znajduje się zawsze dobroliwa i uspokajająca odpowiedź. Jeden z członków SA zgromadził koło siebie 50 osób. Kiwa ręką i mówi: „No tak, teraz chodźcie za mną!” Istotnie, brzmi to bardzo dobroliwie i uspokajająco.

Potem idą wszyscy zgodnie do tymczasowego pomieszczenia dla zbombardowanych. Dzielny szurmowiec pilnuje, aby uratowane reszki dobytku nieśli młodzi chłopcy i dziewczęta. Sam wziął na rękę dziecko od młodej Niemki, w drugiej trzyma kufek.

„Czynić więcej niż nakazuje obowiązek — oto najwyższe prawo SA” — kończy sprawozdanie Eryk Probst.

A z tymczasowego pomieszczenia pojadą zbombardowani dalej — w nieznane. Rozpoczną wędrówkę, która we wrześniu 1939 roku była udziałem setek tysięcy Polaków.

Warto spokojnie zanalizować wpływ nalotów na zdolność oporu nieprzyjaciela, czyli na jego stan moralny. Uczynimy to w ramach możliwości, jakie daje lektura, przychodzących zresztą z dużym opóźnieniem, gazet niemieckich.

Prasa niemiecka już dawno przestała przemilczać naloty. Od szeregu miesięcy pisze o nich stosunkowo dużo, ogrywa się według recept, wypracowanych w laboratorium Wielkiego Mistrza Łoży Kłamec, zwanej też Ministerstwem Propagandy. Po zebraniu wycinków o nalotach z przodujących gazet niemieckich, po uważnym przestudiowaniu treści, formy, oraz nasłania służby informacyjnej w tej dziedzinie w poszczególnych pismach, można wysnuć pewne wnioski ogólne.

Jak wiadomo, wzmożenie działalności lotniczej Sprzymierzonych spowodowało stworzenie w Niemczech pojęcia „nalotów terrorystycznych”. Takie wyrażenia, jak „Terror-angriffe”, „Terror-bomber”, „Luftganser”, „Massenmord von Zivilisten”, it. d. powtarzają się już dawno we wszystkich wiadomościach o nalotach.

„Nalot terrorystyczny” — według teorii goebbelsowskiej — to atak lotniczy, skierowany wyłącznie przeciwko ludności cywilnej, w celu zniszczenia ducha jej samej oraz zatrudnionych w przemysłu wojennym lub walczących na froncie członków rodzin, dotkniętych bombardowaniem.

Każda wzmianka lub ciszniejsze sprawozdanie o „nalocie terrorystycznym” — zgodnie z receptą, zapisaną przez dra Goebbelsa — kończyło się mniej więcej do marca b. r. zapowiedzią strasznej zemsty, która nastąpi niebawem, oraz zapewnieniem, że obiekty wojskowe z powodu bombardowania bynajmniej nie ucierpiły. Cyfry strat w ludziach nie były podawane lub podawano liczby jaskrawo za niskie.

Zmieniła się sytuacja. Co raz więcej fizisk, symbolizujących bombowce, ustawiają zgrabne ochotniczki WAAF na wielkich mapach w „Operation Rooms” dowódców brytyjskich i amerykańskich bombowców, gdzieś w Anglii, gdzieś w Afryce Północnej, gdzieś na Sycylii. Coraz więcej wlotonowych argumentów wysyła się do Niemiec.

Zmieniła się sytuacja — musiały się zmienić recepty dra Goebbelsa. Powstało nowe pojęcie: „Kulturbarbarei”, „Kulturschande”, it. p. („barbarzyństwo kulturalne”, „hańba kulturalna”).

W wychodzącej w Belgradzie „Donauzeitung” z 1 czerwca 1943 r. pojawiła się czarna lista kościołów, muzeów, szkół, i historycznych zabytków zniszczonych — naprawdę lub tylko w instrukcjach Ministerstwa Propagandy — na terenie Niemiec zachodnich. Nie jest ich mało: w Kolonii — 31 kościołów, w Moguncji — muzeum, parę zamków, katedra, kilka kościołów; w Essen — ratusz, tysiąclecie świątyni it. d. it. d. W Berlinie tylko słynny kościół św. Jadwigi, opera, biblioteka państwowa, galeria narodowa i coś tam jeszcze.

Ponura lista „zbrodni kulturalnych” kończy się stosunkowo łagodnie: „Za zbrodnię popełnioną i popełnianą w dalszym ciągu na Europie Alianci będą musieli zapłacić, gdy nadejdzie godzina obrachunku”. (podkreślenia nasze).

Inne pisma niemieckie, zwłaszcza te z Niemiec zachodnich i północnych, nie podają żadnej listy rzekomych kulturalnych zbrodni i nie miały biblijnych groźb zemsty. Zajmowały się natomiast w tasemcowych wywodach zawiłymi sporami z prasą angielską, kto pierwszy rzucił bombę na ludność cywilną.

W ogóle geografia odgrywa dużą rolę w „polityce nalotowej” dra Goebbelsa. Im dalej do nalotów — tym więcej o nalotach. Niech lepiej ci, co są w ogniu, albo blisko ognia, nie wiedzą za dużo — niech raczej myślą, że to tylko u nich tak niedobrze. Chyba że jest już bardzo źle — wtedy trzeba im pokazać, że gdzie indziej jest znacznie gorzej. Tak jest z Hamburgiem, ale o tym niżej. Narazie przejrzymy pisma, wychodzące daleko od Rury, mięknące coraz bardziej pod ciosami

RAF-u. Piszą one dużo o nalotach. Oczywiście raczej teoretycznie, ogólnie, zasadniczo.

Itak np. „Deutsche Zeitung in Kroatien” (Zagrzeb) i „Neues Wiener Tageblatt” z dn. 6 marca b. r. podają sprawozdania o konferencji dla prasy zagranicznej w sprawie bombardowań Niemiec; „Deutsche Zeitung in Kroatien” z 5 marca b. r. opisując nalot na Berlin, pociesza czytelników, że zdaniem Anglików, niemiecka obrona przeciwlotnicza była znacznie silniejsza niż poprzednio... Zabitych było 191 osób, rannych 268.

To samo pismo z 14 marca b. r. podaje za komunikatem RAF-u ilość bezdomnych w zachodnich Niemczech na znacznie ponad milion i — nie zaprzeczając tej cyfry — skarży się tylko, że alianci zamiechali bombardowania celów (target-bombing) i stosują bombardowanie rejonów (area-bombing); w końcu pociesza czytelników, że tylko drobna część 80 milionów Niemców i 44 milionów Włochów jest wystawiona na groźbę nalotów terrorystycznych. Podobnie w innych pismach na terenie Czech, Austrii i Bałkanów: według tej samej recepty.

Najgłośniej krzyczy o „zbrodniach kulturalnych” (Anglików i Amerykanów wychodzące w Turcji pismo niemieckie „Tuerkische Post”. Ba, w numerze z 24 czerwca b. r. lansuje nawet projekt karania pilotów za te zbrodnie według wzorów japońskich. Turcja jest daleko od Zagłębia Rury: nikt w Essen czy Kolonii nie czyta „Tuerkische Post”.

Natomiast w prasie berlińskiej, czy w „Frankfurter Zeitung”, czy w „Münchener Neuste Nachrichten” nie wiele o nalotach. Od czasu do czasu przemówienie jakiegoś dygnitarza, który tłumaczy, że przecież to Anglicy zaczęli, że zdecydowana postawa ludności jest twardą odpowiedzią na naloty i źródłem siły dla całej Rzeszy, czasem jakiś komunikat DNB w tymże stylu. I zwykle, już teraz blade, zakończenie: godzina porachunku nadejdzie.

Dr Goebbels nie jest specjalnie głupim człowiekiem. Wprawdzie posiada tylko tytuł doktora filozofii, ale zna się i na medycynie. Rozumie, że gdy nie ma skutecznego lekarstwa, trzeba oprócz częstego zmieniania recept, stosować też środki psychologiczne: perswazję, sugestie.

Przed tym jeszcze puścił parę cyfr o stratach spowodowanych bombardowaniem. Francji i Włoch, w Paryżu — 471 zabitych, 700 rannych („Deu-

tsche Allgemeine Zeitung” z 31 marca b. r.), w Antwerpii ponad 2000 zabitych i znacznie większą liczbą rannych („Neues Wiener Tageblatt” z 8 kwietnia b. r.), w Livorno 249 zabitych („Hamburger Fremdenblatt” z 5 czerwca 1943 r.), w Reggio Calabria... w Le Creusot...

Gdyby ktoś był bardzo ciekawy i mieszkając np. w Berlinie, czytywał „Deutsche Zeitung in Kroatien” — to wykryłby, że w wielkim nalocie na Berlin 2 marca było raptem 191 zabitych i 268 rannych. „Nie jest tak źle” — musiałby pomyśleć uparty poszukiwacz niemieckiej prawdy.

Później, w czerwcu, gdy zrobiło się bardzo gorąco, dr Goebbels przemówił osobiście przez swoją tubę — cotygodniowy artykuł wstępny berlińskiego „Das Reich”. Nie specjalnie o nalotach — nie, broń Boże: ot, tak sobie, od niechcena, przy okazji omawiania „ważnych” zagadnień. Ale jednak przemówił i to dwa razy z rzędu.

W numerze z 20 czerwca czytamy: „Rząd wie oczywiście doskonale, jak niemiecki naród odczuwa i ocenia brytyjski terror lotniczy. Rząd musiałby być całkiem bez serca, gdyby nie podzielał tych uczuć. I nie znajduje się nikt, kto by przypuszczał, że poprzestanie na samej świadomości. Oczywiście, rząd coś robi, ale co robi, tego nie może powiedzieć...”

W numerze z 27 czerwca b. r. pociesza dalej dr Goebbels swych czytelników:

„Zupełnie błędna jest teza angielska, że można pokonać Oś przez samą wojnę lotniczą... Wojna powietrzna stanowi wyjątkowo skuteczny środek pomocniczy przy operacjach lądowych, ale sama przez się nie może dać rozstrzygnięcia. Poza tym w ostatnich tygodniach straty, które ponosi wróg przy swoich dziennych i nocnych nalotach, są tak wysokie, że wkrótce stanie on wobec pytania, czy ataki w tym stylu i przy takim ryzyku w ogóle się opłacają, niezależnie od tego, że pewnego dnia powinienn otrzymać na nie odpowiedź, która postawi pod znakiem zapytania celowość obecnego sposobu prowadzenia wojny lotniczej...”

Brzmi to „inteligentnie”, zawiłe i... głucho. Chyba wstrzymano wysyłkę tego numeru „Das Reich” do rejonów bombardowanych. Wszak zbombardowany mieszkaniem Essen czy Hamburga mógłby łatwo pomyśleć: „Ładna historia: Anglicy chcą wygrać wojnę bombami — więc potrwają jeszcze bardzo długo...”

Przegląd polityczny

Najniespodziewaniej Bliski Wschód wysunął się w ostatnich dwóch tygodniach na pierwszy plan światowej sceny politycznej. Parlament libański uchwalił wprowadzenie do konstytucji Libanu zmian, które równają się przekreśleniu mandatu francuskiego i wprowadzeniu niepodległości Libanu. Zmiany te głoszą, że rząd Libanu może bez porozumienia się z państwem mandatowym zawierać traktaty z państwami trzecimi, oraz jako jedyny język urzędowy ustalić język arabski. W odpowiedzi na to komisarz Helleu zaarrestował prezydenta i rząd Libanu. Dalszy przebieg wypadków jest znany: ostatecznie prezydent Khouri wraz z rządem wrócili do władzy w gorliwych meczennikach, a komisarz Helleu musiał z Libanu wyjechać.

Jest dzisiaj rzeczą zupełnie jasną, że Helleu był tylko wykonawcą cudzych rozkazów. Stał za nim de Gaulle. I trzeba powiedzieć odrazu, że sprawę libańską Komitet Francuski rozegrał nie najzreźniej. Istnieje na Bliskim Wschodzie porządek, że tak jak nie może potrafi zmienić niechęci Syryjczyków do Francji, tak też i nie może potrafi zmniejszyć do Francji maronickich Libańczyków. Otóż de Gaulle potrafił. Można dyskutować na temat, czy polityka siły jest polityką mądrą, czy też nie. Nie podlega jednak dyskusji, że na to, aby politykę taką prowadzić, trzeba tę siłą naprawdę dysponować.

Nie należy też zapominać, że obecne wypadki wojenne przyspieszyły tylko likwidację mandatu francuskiego, która — zwłaszcza w związku z Syrią — aktualna była już przed wojną. Zastrzyżono ją zwłaszcza zniszczeniem mandatu brytyjskiego nad Irakiem i ogłoszenie w r. 1932 niepodległości Iraku. Syryjczycy uważali wtedy, że są co najmniej na tyle dojrzałym do niepodległości co Iracyjczycy. Rokowania toczyły się długo, ostatecznie rząd francuski w r. 1936 zdecydował się na uznanie niepodległości Syrii i Libanu. We wrześniu 1936 r. zawarty został traktat francusko-syryjski, w październiku — francusko-libański. W trzy lata po podpisaniu traktatu Syrii i Liban miały stać się członkami Ligi Narodów. Ale tymczasem przyszła wojna. Myliłby się więc ten, kto by sądził, że to co zaszło w Libanie, to poprostu wynik klęski Francji w r. 1940. Przeciwnie, jest to logiczny rezultat procesu, który rozpoczął się już przed wojną i który wydarzenia wojenne przyspieszały.

Jesteśmy więc świadkami rodzenia się na Bliskim Wschodzie nowego państwa. Liban będzie miał odtąd prawo zawierania bez porozumienia z Francją traktatów z innymi państwami, na przykład z Wielką Brytanią.

Trudno powiedzieć, czym się de Gaulle kierował, kiedy zdecydował się na wzięcie ostrego kursu wobec Libańczyków. Być może, że liczył na poparcie ZSRR. Nie jest być może kwestią przypadku, że właśnie w momencie gdy konflikt libański osiągnął swą fazę kulminacyjną, dwie teki dostały się w Algierze komunistom. Nie jest też pozabawionym wymowy fakt, że gdy niedawno zaprzysięgano w Rosji drugą polską dywizję, im Dąbrowskiego (Henryka, nie Jarosława), na zaprzysiężeniu był obecny francuski attaché wojskowy.

Drogą określną można się nie raz w sprawach politycznych w ecej dowiedzieć, niż z komunikatów i deklaracji politycznych. Autorowi tych słów wpadły niedawno w ręce wrześniowe numery znane londyńskiego tygodnika, poświęconego omówieniom świeżo wydanych książek „Times Literary Supplement”. Kiedy się przegląda te numery, jest się zaskoczonym prawdziwym potopem

książek o ZSRR, jakie się teraz w krajach anglosaskich wydaje. Drukuje się książki nowe i przedrukowane stare, wydaje książki autorów sowieckich i emigrantów: Milukowa, Jugowa, Mirskiego (emigrant, profesor literatury rosyjskiej na uniwersytecie londyńskim, który przed kilku laty podał się z reżimem, wrócił, szybko stracił równowagę polityczną i znikł). Drukuje się książki na wszystkie możliwe tematy, związane z Rosją. Z zapowiedzi wydawniczych dowiadujemy się na wet, że w druku są specjalne książki: jedna o Litwinowie, a druga o Majskim. Nastawienie wszystkich tych książek jest jedno. Przedrukowano wprawdzie przekład głośnego „Powrotu z ZSRR” Gide’a, ale na ogół autorzy książek o Rosji nie chcą wracać. Tytani anglosascy przypominają tu raczej zachodnią Tytanie, czy też Alę w krainie czarów, czarującą młodzieńczą naiwnością.

Także i w Stanach Zjednoczonych, gdzie na ogół publicystyka antysowiecka jest dużo żywsza niż w Anglii, prądy prosowieckie wzrastają na siłę. Bardzo znamienna była tu wygłoszona przed kilku tygodniami mocno prosowiecka mowa Ickesa. Znamienna dlatego, że Ickes reprezentuje koła wielkich banków, które dotychczas do Rosji odnosiły się niechętnie.

Przyczyny tego nie trudno zgadnąć. W pierwszym rzędzie trzeba tu się liczyć z fascynacją państwa, które potrafiło zadać tak wielkie klęski niezwyciężonemu armiom niemieckim. Ale są i przyczyny głębsze. Nad obu krajami, szczególnie nad Stanami Zjednoczonymi, wisi groźny cień powojennego bezrobocia. Dlatego szczególnie chętnie myślą się o powojennej Rosji jako o przyszłym niezwykłym chłonnym powojennym rynku zbytu, tym chłonnijszym, że Rosja będzie musiała naprawić olbrzymie zniszczenia wojenne. Bardzo niewielu publicystów brytyjskich podziela opinie, jaką wypowiedział w londyńskim „Daily Mail” z 1 października Negley Farson. Twierdzi on, że liczenie na wielki powojenny eksport do Rosji jest złudzeniem: Rosja jest krajem samowystarczalnym jeśli chodzi o surowce (iżnie ze złotem, którego ma największą na świecie produkcję) i współpracy gospodarczej ze światem nie będzie potrzebowała.

Wystarczy rzucić okiem na mapę frontu rosyjskiego, żeby się przekonać, jak straszliwie pogmatwana jest jego linia. Jest on niewątpliwie teraz dużo dłuższy niż w czasie, gdy Rosjanie zaczęli swą ofensywę. Jest rzeczą bardzo wątpliwą, aby front ten mógł się na takiej linii ustabilizować. Trudno też dzisiaj jeszcze mieć wyrobione zdanie na temat nowej ofensywy niemieckiej, idącej po linii Zytomierz-Kijów. Ma się wrażenie, że znaczenie jej jest raczej lokalne i że ma ona przez zabezpieczenie skrzydła zapewnić odwrót armiom niemieckim, walczącym w łuku Dniepru. Jak dotychczas nie przybrała ona jeszcze takich rozmiarów, aby można było powiedzieć, że pokrzyżuje plany nowej, sowieckiej zimowej ofensywy.

W tych warunkach postępy we Włoszech Sprzymierzonych, których chcielibyśmy jak najprędzej zobaczyć, posuwających się w głąb kontynentu europejskiego, są jak na nasze nadzieje i obawy mocno za powolne. Niemcy wyliczyli, że przeciętna posuwania się armii Sprzymierzonych od chwili wyładowania V Armii pod Salerno wynosi jedną milę na dobę. Nie jest to dużo. W tej sytuacji możemy się tylko pocieszać bajką o Achillesie i Zjottiu. Złazszca, że zółw ma bardzo mocny pancerz, a Achilles — Achilles ma piętę.

ww.

Nie wiele pocieszyłyby go wielkie straty nieprzyjaciela, o których krzyczą coraz głośniejsze czerwcowe tytuły niemieckich komunikatów wojennych, ale zgodziłby się z dr. Goebbelsem, że Alianci „powinni” otrzymać odpowiedź. Bo „pewien” dzień jest zwykle bardzo niepewny i daleki...

Jak się rzekło wyżej, dr. Goebbels wierzy, że ludziom, którym jest bardzo źle, można ulżyć, udowadniając im, że innym jest gorzej. W myśl tej zasady pozwolono „Hamburger Fremdenblatt” pisać dużo o nalotach. Dziś prawdopodobnie pismo to już nie wychodzi „z powodów niezależnych”, ale w czerwcu istniał jeszcze Hamburg, istniał „Hamburger Fremdenblatt”.

Śięgniemy po numer z 10 czerwca b. r. jest ciekawy i pouczający. Członek niemieckiego biura informacyjnego w raporcie, zatytułowanym „Doświadczenia wielu nocnych nalotów — podróż po Zagłębiu Rury”, — pisze m. in.:

„W północno-zachodnim niemieckim okręgu nadmorskim i w Niemczech Zachodnich kraj stał się frontem. Ludność musi znosić ciężkie napady lotnicze... Każdy jest żołnierzem i w czasie ciężkich od bomb nocy musi być stale panem samego siebie...”

„We wszystkich bombardowanych okręgach przekonano się, że najskuteczniejsza jest własna samoobrona ludności. W ciągu jednocennego nalotu na pewne miasto 1500 pożarów zostało ugaszonych siłami własnymi samoobrony, podczas gdy policja mogła się oddać akcji ratowniczej w 60 większych katastrofach...”

Coś niedobrze z urzędową OPL bierna, choć składa się ona z licznych formacji, które wylicza autor raportu: z oddziałów partyjnych, policji, SA, — sprowadzanych często z dalekich miejscowości, z brygad robotniczych służby pracy, usuwających gruz, z kompanii budowlanych Wehrmachtu, odbudowujących ważne obiekty wojskowe, i w razie potrzeby z t. zw. oddziałów A i B podlegających Ministerstwu Uzbrojenia. Ale czytamy dalej:

„Urzędy miejskie — gospodarze, kwaterunkowe i odszkodowań wojennych — podejmują pracę w ciągu nocy bombowych. Nie czas na wojnę papierową i biurokrację w okręgach bombardowanych. Potworzono filie urzędów, aby zaoszczędzić poszkodowanym nalotami niepotrzebnych spacerów. Każdy z nich otrzymuje natychmiast niezbędne karty żywnościowe...”

Wzruszające, poprostu wzruszające. I imponujące zarazem. Głodni otrzymują natychmiast kartki. Piekarnie zburzone, sklepy spożywcze spalone, ale nie to. Po przejściu przez różne etapy dla bezdomnych, po odbyciu długiej podróży do nowych miejsc zakwaterowania (wydano w czerwcu specjalną ustawę o rekwiizycji mieszkań w całej Rzeszy na ten cel) — poszkodowany będzie mógł skorzystać z kartek. Chyba, że obowiązują tam innego koloru kartki żywnościowe...

Dużo ludzi, niezbyt doborowo, opuszcza gorącą ziemię Zachodnich i Północnych Niemiec:

„Z jednego tylko miasta Zachodnich Niemiec — pisze korespondent — odchodzą codziennie trzy pociągi z dziećmi i kobietami, niezależnie od pociągów sanitarnych... Brutalne dzieło zniszczenia, dokonywane przez wroga, zburzyło część pomieszczeń mieszkalnych. Jedną z najpoważniejszych trosk jest ewakuacja bezdomnych. Jakby cudem odbywa się rozmieszczenie większej części poszkodowanych w drodze własnej inicjatywy...”

Znowu prywatna inicjatywa. Totalistyczny dziennikarz stotalizowanego DNB, w totalistycznym państwie, unosi się w zachwytach nad prywatną, wolną, radosną inicjatywą. Brawo, brawo!

„Ale trzeba mu oddać sprawiedliwość. Chwali i społeczno-państwowe instytucje:

„Specjalnie zważa się na życie i zdrowie dzieci. Zarządzenia opiekuńcze dotyczą przede wszystkim kobiet w ciąży, które znajdują pełne miłoścy przyjeźcie w pobudowanych poza miastami wojennych zakładach położniczych. W jednym z takich zakładów już około 1000 dzieci ujrzało światło dzienne...”

Tak opisuje skutki nalotów niemiecki dziennikarz, dodając szereg pochwał sprawności i bohaterstwa urzędników organów partyjnych. Ten opis i inne, których z braku miejsca nie podobna tu przytoczyć, nie rokuja — być może — nadziei na wygranie wojny wyłącznie za pomocą lotnictwa, ale upowniają do mniemania, że ciężkie argumenty RAF-u zaczęły już trafiać do przekonania narodu niemieckiego.

Chyba są one zdolne skrócić wydatnie tę okropną wojnę.

(as-set).

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH! NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelichowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieliznę trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

T E L - A V I V, ul. ALLENBY 83

Nowość!

ŁUKASZ KURDYBACHA

NARÓD w WALCE

(wybór literatury wojennej)

Stron 470

Cena 300 milsów.

OPINIE ANGIELSKIE

Literatura niemiecka o ziemiach wcielonych

Czytelnik spotyka się niemal codziennie na szpalkach prasy polskiej z nazwami periodyków angielskich. Obszerne cytują się zwłaszcza wypowiedzi najrozmaitszych pisarzy angielskich na temat polski. Ponieważ waga wypowiedzi czy komentarza zależy od pisma, w którym się ukazuje, koniecznym jest, aby czytelnik polski był obeznany choćby w najogólniejszych zarysach z „Who is Who?” periodycznej prasy brytyjskiej. Właściwie nie brytyjskiej, ale londyńskiej, gdyż w przeciwieństwie do prasy codziennej, periodyki prowincjonalne nie mają większego wpływu. Prasa periodyczna ma całą gamę znaczenia i zasięgu. Np. artykuł w *Cavalade* i artykuł w *Economist* trafiają nie tylko do różnych czytelników, ale są przyjmowane z różną dozą zaufania przez t.zw. sfery opiniotwórcze Anglii.

Spectator: tygodnik konserwatywny. Jedno z najstarszych pism Anglii, które obchodziło w sierpniu wydanie swego 6000-nego numeru. Redaktorem jest Wilson Harris, autor wydanej niedawno książki p. t. „The Daily Press”. Jest to pismo poważne i niezależne. Jego statut, podobnie jak statut *Timesa* i *Economista*, ogranicza prawa właściciela, który nie może samowolnie mianować czy zwalniać redaktora. Daje to pismu dużą swobodę ruchów. O sprawach polskich pisze rzadko i obiektywnie.

Economist: jest pismem niezależnym, o tendencjach liberalnych. Artykuły ukazujące się w „*Economist*” są niepodpisane. Pośród współpracowników pisma znajdują się najwybitniejsi pisarze polityczni i gospodarczy Anglii. W sprawach polskich zabiera ostatnio dość często głos i jest doskonałe o nich poinformowany. Podchodzi do nich rzeczowo, ale ma swoje ustalone i wyrobione poglądy, które nie zawsze idą po naszej myśli. Pismo jest bardzo poważne, a jego wypowiedzi mają podobny ciężar gatunkowy, jak wypowiedzi *Timesa*.

2 września 1943 r. obchodził *The Economist* stoletnią rocznicę swego istnienia. Na bankiecie, wydanym z tej okazji, pojawili się przedstawiciele rządu brytyjskiego, rządów Dominii i rządu Indii. Przemówienia wygłosili: Sir Kingsley Wood, Kancelarz Skarbu, Herbert Morrison, Home Secretary i Montagu Norman, gubernator Banku Angielskiego. Okazja musiała być więc niebyła jaka, jeśli w czasie wojny, ministrowie, członkowie gabinetu wojennego, i szereg poważnych osobistości znajdują czas na to, aby uciec pismo o skromnym, jak na Anglię, nakładzie, nie dochodzącym do 10.000.

Ala też historia *Economista* jest historią najświetniejszej tradycji dziennikarskiej. Został założony w 1843 r. przez Jamesa Wilsona. Były to czasy angielskiej rewolucji przemysłowej, gdy Richard Cobden, John Bright i John Stuart Mill narzucili myśli angielskiej swoje teorie gospodarcze. Ale choć *Economist* był tych teorii pierwszym propagandystą, jednak nie ograniczał się bynajmniej do spraw ekonomicznych. Prawie od początku miał podtytuł: „Pismo Polityczne, Literackie i Ogólne” i temu podtytułowi do dziś dnia pozostał wierny. (Zresztą w owych czasach słowo „ekonomista” nie oznaczało tak ściśle określonej wiedzy, jak dzisiaj).

Pod kierownictwem Wilsona a potem Waltera Bagehota stał się pismem kupców, przemysłowców i inteligencji zawodowej, tj. tej warstwy społecznej, która dzięki swemu wychowaniu i wykształceniu ma dotychczas największe możliwości wpływu na politykę angielską. „Rzadko tylko danym jest dziennikarzom — co czasami zdarzało się meżom stanu — aby zmieniali bieg historii jedną wypowiedzią” (z artykułu redakcyjnego p. t. „*Economist*” 1843—1943). Ale wpływ rozłożony na lata, sto lat — tydzień po tygodniu — wytrwalego wysiłku wychowawczego musi wydać swe owoce.

W ciągu stu lat swego istnienia zmienił *Economist* niejednokrotnie swoje poglądy i „chłubi się tym. „W gazetce, wciąż żywej po stu latach, nie jest ważnym, czy zmieniła swa politykę, ale czy zmieniła ją we właściwym kierunku”. Sądząc po uznaniu, jakim się cieszy; sądząc po głosach prasy wszelkich odcieni politycznych; sądząc po dostojnych gościach na bankiecie, na którym konserwatywny kanclerz skarbu przemawiał równocześnie z socjalistycznym ministrem spraw wewnętrznych, redaktorzy *Economista* mądrze i godnie sterowali losami pisma.

New Statesman & Nation: jest pismem socjalistycznym, a jego współpracownicy grupują się wokół „Fabian Society”. Redaktorem jest Kingsley Martin, autor książki o „dobrych Niemcach”, p. t. „Propaganda's Harvest”. Pismo prowadzi ostrą kampanię anty-wanittarską. Jest to tygodnik poważny, choć nieraz dość agresywny, zwłaszcza jeśli staje w obronie swych proniemieckich teorii. Zajmuje przeważnie antypolskie stanowisko, jednak o naszych sprawach nie jest zbyt dobrze poinformowany. W sprawie polsko-rosyjskiej zajęło — jako jedno z niewielu pism angielskich — stanowisko zdecydowanie dla nas nieprzychylnie. Nie wolno jednak mierzyc pisma jego stosunkiem do spraw polskich. Jest ono na ogół obiektywne i poważne. Zawiera nieraz bardzo ciekawą materiał felietonowy.

Time and Tide: tygodnik, redagowany przez Lady Rhonda i zasilany głównie piórami kobiecymi. Pismo liberalne. Inteligentne i spokojne, ale często mało ciekawe. O sprawach polskich pisze niewiele, ale zawsze dodatnio.

Tribune: tygodnik lewicy Labour Party. Założony został przez Sir Stafford Crippsa. Bardzo żywo i interesująco redagowany, ale (— może właśnie dlatego —) nie zawsze obiektywne. Niechęć ostro i osobiście atakuje Churchilla. Zresztą nie tylko jego. W roku bieżącym zamieścił napastliwe artykuły o papieżu, Eisenhowerze, królu greckim. O sprawach polskich jest bardzo dobrze poinformowany, ale zajmuje wobec nas stanowisko negatywne. Znalazł wprawdzie parę ciepłych słów dla bohaterstwa i poświęcenia polskiego ludu, ale bardzo ostro, ze zwykłą w tym piśmie siłą inwektyw, atakował ostatnio w pięciu lub sześciu artykułach konstytucję polską, prez. Raczkiewicza, gen. Sosnkowskiego oraz polską reakcję w osobach Mackiewicza, Bieleckiego i Doboszyńskiego. Pismo ma mały nakład i niewielkie wpływy. Temperament jego artykułów razi Anglików bardziej niż atakowanych przezeń cudzoziemców.

Weekly Review: tygodnik, założony przez Chestertona. Skrajnie prawicowy i reakcyjny. Niezbyt żywy i czasami nudawy. O Polsce pisze często i propolsko. Ostatnio zapowiedział, że sprawom polskim poświęci jedną stronę miesięcznie.

.....**Tablet:** najstarsze pismo katolickie. Poświęcone głównie sprawom katolickim i kościelnym. W swej części politycznej pisze często i dodatnio o Polsce.

Prócz powyższych tygodników, które zaliczyć należy do grupy „poważnych”, istnieje szereg innych, przeznaczonych dla szerszej konsumpcji. Mają one większe nakłady ale mniejszy wpływ na tworzenie się opinii. Tu znaleźć można: *News Review*, *Cavalade*, *Leader*, *John Bull*. Są to pisma polityczne. O Polsce piszą niewiele i tylko o sprawach bezpośrednio aktualnych.

Wypada jeszcze wymienić tygodniki ilustrowane: *Picture Post*, *Everybody's* i *Illustrated*. Pierwsze dwa mają wyraźne oblicze polityczne i zabierają głos nie tylko we formie ilustracji, ale także w artykułach. *Picture Post* jest pismem lewicowym, a *Everybody's* prawicowym.

Miesięczniki, głównie z racji małego nakładu, mają mniejszy wpływ na życie polityczne Anglii, choć w życiu kulturalnym grają poważną rolę.

Nineteenth Century and After: miesięcznik redagowany przez Voigta, byłego korespondenta *Manchester Guardian*, który m. i. był w Polsce w czasach t. zw. pacyfikacji Małopolski Wschodniej i pisał o nas wówczas bardzo ostro. Jest to pismo bardzo zachowawcze i bez większych wpływów czy posłuchu. Należy o tym pamiętać zwłaszcza dlatego, że jest ono bardzo dobitnie propolskie, a jego artykuły o sprawach polskich, inteligentne i gruntowne, cieszyły się wielką popularnością... wśród Polaków. Wąpie jednak, czy były doceniane tam, gdzie propaganda propolska powinna trafić, t. j. w sferach krytycznie wobec spraw polskich nastawionych.

Fortnightly, **National Review**, **Contemporary Review** są poważnymi miesięcznikami politycznymi o rozmaitych odcieniach partyjnych. Sprawom polskim poświęcają swą uwagę tylko w wypadkach specjalnej aktualności, zbiegającej się z interesem politycznym Anglii.

Z periodyków, nie posiadających charakteru czysto politycznego, warto wymienić *Horizon*, miesięcznik literacki, i *World Review*, ilustrowany miesięcznik o charakterze „magazynu”, ale poważny w tonie i treści. Na jego treść składają się artykuły polityczne, gospodarcze, naukowe, literackie i t. d. Redaktorem jest Edward Houlton, wydawca *Picture Post*.

Powyżej wymienione pisma nie wyczerpują bynajmniej spisu periodyków angielskich, których cyfra idzie w tysiące.

Pewien wybitny polski redaktor i wydawca, przebywający obecnie w Londynie, gdy porównywał raz w rozmowie publicystykę polską z publicystyką angielską, którą obserwuje tutaj już od przeszło trzech lat, powiedział do mnie: „Nie mamy się czego wstydić. Poziomem naszej publicystyki bynajmniej nie ustępujemy Anglikom. Zarzykowałbym nawet twierdzenie, że nasi pisarze mieli więcej talentu, choć Anglicy są gruntowniejsi”.

Porównanie jest trafne, ale ocena bardzo „niegruntowna”. Nie można mierzyc pisarzy samym talentem, czy samą gruntownością. Dopiero te dwie cechy, razem wzięte, plus cały szereg innych cech jak inteligencja, fantazja, wykształcenie, odczytanie i d., dają podstawę do oceny. To prawda, że nasi pisarze mieli więcej polotu i rozmiarem byłyby artykuły, publikowane w prasie polskiej, bardziej rozległe i bardziej żywe, ale z tego nie można wysnuć wniosku, że „poziomem nie ustępujemy Anglikom”.

Precyzja pisanego (— ale także i mówionego —) słowa jest w Anglii doprowadzona do doskonałości. Angielskie pisma zamieszczają artykuły nie przekraczające rozmiarem 1500 słów. Najmniejszy artykuł polski w prasie poważnej mieści co najmniej 3000 słów (dwie kolumny „W Drodze”). Czytelnik polski, nie przyzwyczajony do tej oszczędności słów, zbyt szybko i powierzchownie czyta publicystykę angielską. Rozwlekłość polskiej stylistyki, jej barokowe przeładowanie są uciążliwym dla czytelnika oraz dla autora, któremu łatwiej jest wyrazić myśl w paru obrazach czy metaforach niż w jednym, ściśle dozwolonym zdaniu. Ta rozrzutność formy pociąga za sobą lekkomyślność treści. Śmiała metafora, czy dygresja, rzutużca porównanie w nieskończoność, tak powabne i widzące w poezji i w prozie artystycznej, są w publicystyce pokusą dla powierzchownego i niezbyt dobrze udokumentowanego rozumowania. Ten grzech pierworodny leży u podstawy naszej niegruntowności. Przeladowanie szczegółami czyni dokumentację zbyt trudną i żmudną, więc rezygnuje się z dokumentacji. Czytelnik i tak nie zauważy! Cierpi na tym ineligencja autora i jego wykształcenie. Lenistwo jest chroniczną chorobą.

James Agate, krytyk teatralny i literacki, postawił w *Sunday Timesie* szereg pytań, na które zdaniem jego początkujący, 21 letni krytyk teatralny powinien odpowiedzieć, jeśli posiada naprawdę kwalifikacje do swego zawodu. Cytuje tylko pytania nieangielskie, równie trudne dla Anglika jak dla Polaka.

1) Wymień 4 najsłynniejszych dramaturgów starożytnej Grecji.

2) Kto napisał „Mizantropa”, „Wallensteina”, „Pelleasa i Melisandę”, „Ojca”, „Anne Christie”?

3) Kto napisał „Dama Kameliowa”? Musset, Daudet, Dumas ojciec, Dumas syn, Victor Hugo, Sacha Guitry? Jaka aktorka grała rolę tytułową? Bernhard, Duse, Defazet, Desclée, Doche, Printemps?

4) Hedda Gabler była: idealistką która odrzuciła bogatego konkurenta i wyszła za biednego profesora, którego kochała? nawróciła młodego pisarza, który zezedł na manowce i uratowała jego manuskrypt? szantażowana przez iotra sędziego, popełniła samobójstwo, aby uratować swego męża? Co tu jest fałszywe? (Odpowiedzi: 1) Alschylos, Eurypides, Sofokles, Arystofanes. 2) Molière, Schiller, Maeterlinck, Strindberg O'Neill. 3) Dumas syn, Doche. 4) Wszystko.

Pytania z literatury angielskiej są bardziej trudne i bardziej szczegółowe.

Podobnej erudycji wymaga się w Anglii od krytyka literackiego, artystycznego czy publicysty politycznego. Czytając pełne talentu i polotu artykuły, którymi nasza rozpisana emigracja zalewa redakcje polskiej prasy emigracyjnej, muszę nieśmiało stwierdzić, że olbrzymia większość (bez względu na kolor przynależności partyjnej) nie posiada elementarnych wiadomości o sprawach, w których zabiera głos. Nie mówię o takich zasadniczych wypadkach, podchwyconych niestety przez wroga nam propagandę, jak fałszywa interpretacja mowy Churchilla w artykule wstępnym oficjalnego pisma, która wynika z tego, że autor artykułu źle przetłumaczył odnośny uśp z angielskiego na polski. Ale inny, bardzo ceniony pisarz, a ostatnio także publicysta, cytując tytuł słynnej książki filozofa francuskiego Julien'a Benda: „La trahison des clercs”, oparł swą tezę na fałszywej interpretacji myśli przewodniej cytowanej książki. Zwidziony barwnym tytułem książki, której nie czytał, podsunął pod ten tytuł treść wręcz przeciwną niż Julien Benda.

Takie przypadki są niesety symptomatyczne i możnaby je mnożyć w nieskończoność. I dlatego nie zgadzam się z oceną mego znajomego, którą cytowałem na wstępie.

Wojna ustokrotnie tempo postępu technicznego i naukowego. Rzeczy, których zbadanie czy stworzenie zajęłoby w czasach pokojowych dziesiątki lat, tworzą się niemal przez noc. Na ogół jednak są to sprawy chronione gęstą mgłą tajemnicy wojennej, i tylko rzadko dochodzą do wiadomości ogółu. Po wojnie dowiemy się o wielu odkryciach, które zrewolucjonizują nasze życie. O zawrocie kariery, jaką zrobiły masy plastyczne, o odkryciach w dziedzinie radia i telewizji. Możliwości komunikacyjne, wywołane rozwojem lotnictwa, rysują się już dzisiaj z całą wyrazistością. Oby tylko ludzkość nie próbowała wykorzystać tych odkryć dla wywołania nowej wojny! Jakiegokolwiek będą jednak losy powyższych odkryć, pewnym jest, że inne odkrycie wojenne, które zostało dokonane, może stać się tylko dobrodziejstwem ludzkości. Mam na myśli odkrycie i zbadanie sulfonamidów i ich zastosowanie dla zwalczania chorób zakaźnych.

Odkrywcą ich był Niemiec Gerhard Domagk, laureat Nobla, któremu Hitler zabronił przyjąć nagrodę fundacji, która śmiała uciec v. Ossietzkygo. Domagk odkrył substancję organiczną — prontosin. Zażywana doustnie, leczyła ona niektóre zakażenia sreptokokowe. Dalszy, bardzo obrazowy i dramatyczny, rozwój badań przeprowadzonych głównie przez uczonych francuskich i angielskich, doprowadził do wykrycia całego szeregu substancji pokrewnych i wreszcie w 1938 r. do odkrycia najsilniejszej działającej, osławionej M. B. 693, która leczy nawet zapalenie płuc i którą stosowano podczas ostatniej, ciężkiej, płucnej choroby Churchilla.

Działanie tych substancji, zabójczych dla bakterii a nieszkodliwych dla organizmu ludzkiego, polega na „wygłodzeniu” bakterii; pewnego rodzaju blokadzie, pozbawiającej ich wszystkiego, czego potrzebują dla swego rozwoju. Naprowadziło to badaczy na pomysł, aby obok doustnego zażywania, przykładając sproszkowane sulfonamidy do części zakażonych. Rozszerzyło to zasięg działania także na medycynę wojskową i umożliwiło leczenie zakażeń otwartych ran.

Przypadek, który bardziej nawet niż potrzeba bywa matką wynalazku, doprowadził do innego odkrycia w tej samej dziedzinie. W 1929 r. prof. Fleming, bakteriolog St. Mary's Hospital w Londynie, zauważył na pewnej pożywce, na której hodował bakterie, pleśń. Rzecz taka często zdarza się w laboratorium. Niszczą się wówczas bakterie i zaczyna doświadczenie od nowa. Badając jednak ową spleśniałą pożywkę, zauważył prof. Fleming, że wszystkie bakterie, które w niej były, wyginęły. Pleśń była zabójczą dla bakterii. To przypadkowe spostrzeżenie doprowadziło do odkrycia słynnej peniciliny, subsancji, którą w 1941 r. po żmudnych badaniach odseparowano od pleśni. Z początkiem 1942 r. rozpoczęto przemysłową produkcję peniciliny w Ameryce. Produkcja jest trudna i długotrwała, to też całą wywózoną ilość zużywa się dla ciężko rannych na polu bitwy. Penicilina leczy przypadki odporne dotychczas na dawki najsilniejszych sulfonamidów. Wypadki zaawansowanego zakażenia krwi, meningitis, zapalenie płuc i d. są uleczone przez penicillinę.

Domnik Szechie

Niemcy rozwijają żywą działalność wydawniczą w związku z próbami udowodnienia swych praw do obszarów zabranych Polsce oraz w związku ze wszystkimi planami zagospodarowania się na t. zw. „ziemiach wcielonych”. Celem tym poświęcona jest seria broszur, wydawana pod redakcją prof. Waltera Geislera przez znane berlińskie wydawnictwo „Volk und Reich” pod wspólnym tytułem „Die wirtschaftlichen Entwicklungsmöglichkeiten in den eingegliederten Ostgebieten des Deutschen Reiches” („Możliwości rozwoju gospodarczego na ziemiach wschodnich, wcielonych do Rzeszy”).

Geisler był do wybuchu wojny profesorem geografii na uniwersytecie wrocławskim. Jedną ze swych prac poświęcił on krytyce znanej mapy Spetta, która posłużyła do udowodnienia na podstawie wyników spisu ludności z r. 1910 praw Polski do Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Dziś Geisler jest profesorem geografii na uniwersytecie w Poznaniu, gromadzącym obecnie najbardziej szowinistyczne elementy profesorskie z całych Niemiec.

Seria broszur, redagowanych przez Geislera, objęła 13 zeszytów. Ostatni jest rodzajem resumé wszystkich poprzednich. Autorzy i tytuły poszczególnych zeszytów nie zasługują na specjalne wymienienie. Broszury zajmują się opisem warunków gospodarczych Pomorza, Śląska, Gdańska i okręgu Ciechanowskiego. Ciechanowskiemu poświęcona jest jedna broszura. Gdańskowi i Wiśle inna. Po trzy broszury przeznaczono dla Pomorza i Śląska. Jedna omawia warunki pracy i możliwości osadnictwa w rolnictwie, druga — w rzemiośle, trzecia — w handlu i przemyśle. Zeszyt pierwszy całej serii, napisany przez samego Geislera, wydany został pod bombastycznym tytułem „Niemce, Wschód cię wzywa!”.

Głównym bowiem celem całego cyklu jest zachęcanie Niemców nie tylko do interesowania się wschodem, ale i do osiedlania się na wschodzie. Broszury rzucają dużo światła na niemieckie plany na ziemiach inkorporowanych. Plan te obejmują kanalizację całej Wisły oraz wyposażenie w przemysł rolniczo-przetwórczy Płocka i Ciechanowa. Na Pomorzu i w Wielkopolsce obok zadań ziemian dominuje program agrarny. Przewiduje on dla Pomorza stworzenie na dwóch trzecich całej ziemi uprawnej gospodarstw rolnych 20—25 hektarów. Jedną trzecią ma być zachowana dla własności rolnej o wielkości od 50 do 125 hektarów. W Poznańskim 10% ziemi uprawnej ma być zastrzeżonych dla większych gospodarstw folwarcznych. Wreszcie mają być utworzone gospodarstwa rolne o wielkości różnej, od 20 do 50 hektarów. Plan te nie chcą jednak tworzyć gospodarstw rolnych o wielkości poniżej 15 ha.

Autorzy zapowiadają zupełne odebranie jakiegokolwiek własności Polakom i sprowadzenie ich do roli siły roboczej. W serii Geislera dominuje w pełni idea „Herrenvolku”. Państwo ma swym niemieckim osadnikom na ziemiach wcielonych udzielać wszelkiej pomocy.

Amożera c'eplarniana, jaką stworzono w ten sposób dla kolonizacji niemieckiej na wcielonych ziemiach polskich, spotkała się najniepoddzielaniej z ostrą krytyką w artykule Wilhelma Zocha, ogłoszonym w berlińskim miesięczniku „Neues Bauerntum”, w zeszycie z marca b. r.

Zoch napisał dwa lata temu książkę „Neuordnung im Osten”, w której doszedł do przekonania, że brak przedsiębiorczości i lenistwo poszczególnych Niemców, niechęć do wschodu i brak inicjatywy społeczeństwa doprowadziły kolonizację bismarckowską do bankructwa. Autor w książce tej wzywał jeszcze, że kolonizacja narodowo-socjalistyczna tych błędów nie wykaże. Artykuł jego w „Neues Bauerntum” wskazuje jednak, że stare, dobrze znane wszystkim badaczom nowoczesnej kolonizacji na wschodzie symptomy znowu wystąpiły na ziemiach wcielonych. Zoch krytykuje tu postawę psychiczną Niemców, osiedlanych z takim pośpiechem przez Himmlera na ziemiach polskich. Twierdzi on, że „postawa pana” doprowadziła do tego, iż chłop niemiecki nie chce palcem ruszyć na swym nowym gospodarstwie. Oświada się tylko na to, aby wszystko za niego zrobili... polscy robotnicy Zoch rozpacza, że szeroka pomoc państwa prowadzi do tego, iż nowi koloniści niemieccy odznaczają się brakiem jakiegokolwiek przedsiębiorczości i energii. Na wszystko narzekają: że dom zły, bydlę za małe, zboże za tanie.

Okazuje się że można wysiedlić, przesiedlić, można wypracować plany nowej kolonizacji i dać jej początek, ale żadne takie dzieło wbrew woli zainteresowanych społeczeństw się nie utrzyma. Doświadczenie hitlerowskie na ziemiach polskich potwierdza tylko prawdę o degeneracji rozpędu kolonizacyjnego narodu niemieckiego, który przez wiele wieków był elementem tak łatwym do przesiedlania.

NOWOŚĆ! JADWIGA CZECHOWICZ POZWÓL MI WRÓCIĆ

wiersze

Rosja 1940 — Palestyna 1943

Nakładem

Wydawnictwa „W Drodze”

Cena: 125 milsów na papierze zwykłym,

200 milsów na lepszym papierze.

Uwaga!!

DLA P.P. WOJSKOWYCH

Mundury wojskowe, na miarę i gotowe koszule, spodnie długie i szorty po cenach „utility”

PRESSLER

Ben Jehuda 20a,

Tel-Aviv

Nakładem wydawnictwa „W Drodze” ukazały się ostatnio następujące książki:

Jadwiga Czechowicz, Pozwól mi wrócić,

Lukasz Kurdybacha, Naród w walce (wybór literatury wojennej),

Henryk Sienkiewicz, Pan Wołodyjowski, Tom I i II,

Stefan Żeromski, Sułkowski.

W druku:

Michał Bobrzyński, Dzieje Polski w zarysie, Tom I.

Zdzisław Broncel, Łaska nocy, wiersze,

Władysław Broniewski, Wybór poezji,

Teodor Parnicki, Srebrsze orły. Powieść, Tom I,

Tadeusz Sowiński, Zwrotnik wilkołaka, wiersze.

Wickham Steed, Ży człowiek.

Adres Redakej: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valera

Wydawca: Ignacy Pokryw
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press